

MARTA KISIEL

# Szatawita



Marta Kisiel  
**SZAŁAWIŁA**



Copyright © by Marta Kisiel, MMXVII  
Wydanie I  
Warszawa, MMXVII

# Spis treści

[Ształawiła](#)



**R**ankiem w dniu pogrzebu Oda Kręciszewska stanęła przed lustrem i ujrzała w nim wąsik swojej matki.

Wyciągnęła rękę do pstryczka, włączyła dodatkowe oświetlenie nad umywalką i mrużąc oczy, przyjrzała się uważniej. Zimny blask ledowych żaróweczek nie pozostawił jej żadnych złudzeń. Wąsik jak malowany. Co prawda w stadium załążkowym, ot, zaledwie kilka ciemnych włosków nad każdym kącikiem ust, niby nic, jednakże – jak podpowiadała bezlitosna genetyka – było to nic z nieuchronnymi tendencjami do ekspansji.

Kiedy nadeszła pora, Oda z westchnieniem porzuciła lustro, wyciągnęła z szafy stary płaszcz ojca i pojechała na cmentarz, gdzie krewni i znajomi rodziny, w przeważającej mierze raczej dalsi niż bliżsi, ściągnęli już gromadnie niczym hatifnatowie złaknieni burzy. Po kaplicy rozchodził się bekliwy głos księdza, który co prawda nie znał świętej pamięci nieboszczki, lecz i tak miał całkiem sporo do powiedzenia na jej temat. Zgromadzeni z wprawą wstrzeliwali się w odpowiednie momenty i mamrotali okolicznościowe formułki, a przy okazji ze współczuciem i rewolucyjną czujnością lustrowali to urnę, to Odę. Urna ledwo wystawała ponad stertę wieńców, połyskiem czarnego marmuru i złotych rączek dając wszem wobec świadectwo, że nieboszczka została wyposażona w karnet na wieczność w wersji all inclusive. Oda zaś, jak na nieutuloną w żalu córkę przystało, siedziała w pierwszym rzędzie, cała w bezkształtnej czerni, obecna ciałem, choć nie myślami. A gdy prosto z cmentarza powędrowali do restauracji po przeciwnej stronie ulicy i na stół wjechał rosół z kołdunami oraz schabowe, hatifnatowie zgodnie orzekli, że rytuałom stało się zadość.

I co z tego, że rosół był zaledwie letni, kołduny rozgotowane, schabowe niewiele grubsze od przywiedłej sałaty, na której spoczywały, a Oda w rzeczywistości przez cały ten czas myślała tylko o przeklętym wąsiku nad swoją górną wargą.

Owszem, spodziewała się spadku, ale z pewnością nie takiego! Zupełnie jak gdyby duch jej matki, ujrzawszy kiczowatą urnę, którą przez dwie godziny wybierała wiecznie szarogęsząca się praciotka o guście sroki i niewiele większym mózdzku, postanowił ją opuścić

w trybie natychmiastowym, wstąpić w jedyną córkę i z braku warunków do klasycznego rozdwojenia jaźni wykiełkować w postaci zaczątków wąsika. Tego samego wąsika, którego przez ostatnich trzydzieści lat matka konsekwentnie pozbywała się za pomocą pincety, kiedy nikt nie widział, a ojciec i Oda równie konsekwentnie udawali, że istotnie nie widzieli nic a nic. A teraz wrócił – niczym klątwa faraona.

Przez cały dzień, czy to przyjmując machinalnie kolejne kondolencje, czy to grzebiąc łyżką w stygnącym rosole, czy to wracając w końcu przez zaśniewane miasto do pustego mieszkania rodziców, nie potrafiła myśleć o niczym innym. Aż naraz jej wzrok całkowitym przypadkiem padł na jedną ze sklepowych wystaw, które właśnie mijała, i tam już utknął na dobre, sama Oda zaś stanęła jak wryta.

I coś w niej drgnęło.

Lecz nie był to ani wielki żal, ani nawet mały smutek, tylko coś zupełnie innego.

Tak. Czterdzieści dwa lata to zdecydowanie za wcześnie na pierwszy zarost.

\*\*\*

Po długim milczeniu, które z każdą minutą zyskiwało na wymowności, Agnieszka odwróciła się i spojrzała na Odę.

– Powiedz, że nie zamierzasz tego kupić.

– Nie zamierzam – odparła Oda zgodnie z prawdą, osłaniając oczy dłonią przed słońcem i spoglądając w górę, na soczyście zielone korony drzew.

Słyszając to, jej kuzynka odetchnęła z ulgą, której nie dałaby rady ukryć, nawet gdyby próbowała. Była gotowa posądzić Odę o znacznie większe wariactwa, jakie normalnemu człowiekowi nawet nie zaświtałyby w głowie, z pewnością nie na trzeźwo. I nie byłyby to posądzenia całkowicie pozbawione podstaw.

– O matko. Bo już myślałam, że ty na serio za...

– Kupiłam przed miesiącem.

Była druga połowa marca. Sobota. Zaledwie pięć minut po szóstej Agnieszkę nagle obudził telefon. Mimo dobiegających spod kołdry

niemrawych protestów męża godzinę później, bez makijażu i średnio przytomna, zajęła pod kamienicę, w której od pół wieku mieszkali Kręciszewscy. Oda już na nią czekała. W plecaku miała termos czarnej kawy i stertę tradycyjnych kanapek z jajkiem na twardo.

Agnieszka o nic nie pytała, tylko raz po raz łypała zza kierownicy na kuzynkę, czekając cierpliwie na słowo wyjaśnienia. Wiedziała, że przy najmniejszej próbie nacisku Oda zamknie się w sobie, dlatego nie nagabywała jej, tylko skupiała się na prowadzeniu. Znały się przecież całe życie – i to dosłownie, gdyż zostały sobie oficjalnie przedstawione, z wszelkimi szykanami, kiedy Oda miała sześć miesięcy, Agnieszka zaś trzy i pół. I choć z biegiem lat każda wybrała zupełnie inną drogę, a nawet inną półkulę, przez co od dekady widywały się prawie wyłącznie za pośrednictwem internetowej kamerki, to zawsze mogły na sobie polegać w chwilach trudnych i trudniejszych. Na przykład wtedy, kiedy Halszkę, jedyną córkę Agnieszki, potrafił samochód. Kiedy jej mąż z dnia na dzień stracił pracę. Kiedy ni stąd, ni zowąd zmarł wujcio Kręciszewski, ojciec Ody. I teraz, kiedy po długiej chorobie zmarła jej matka. Oraz za każdym, nie wiadomo już którym razem – dodała w duchu Agnieszka, po dwóch godzinach skręcając na rozstajach z głównej szosy w piaszczystą ścieżkę przez las – kiedy Oda, rodzinna szalawica, wpadała na kolejny szalony pomysł, w pięć minut pakowała manatki i leciała tam, gdzie akurat zawiął wiatr, hen, za góry, za morze, za ocean. Cała familia na wyścigi załamywała wtedy ręce, wyrzekając na jej lekkomyślność i składając hołdy ciotce Kręciszewskiej, która z godnością oddawała się okolicznościowej migrenie. Natomiast Agnieszka i Halszka nie mogły się doczekać pierwszego sążnistego, chaotycznego e-maila albo przerywanego połączenia z coraz to innego krańca świata.

A teraz obydwie kuzynki przywiało nieco bliżej, na polanę pośród starego, gęstego lasu. Spomiędzy wysokich traw przezierały pozostałości po niemal doszczętnie strawionym przez ogień budynku, który tu stał może rok, a może pięć lat temu. Kawałek dalej, nad zarośniętym, zamulonym stawem pochylał się kikot samotnego, osmalonego drzewa o bezlistnych gałęziach i pękniętym pniu.

Cóż, przemknęło Agnieszce przez myśl, przynajmniej tym razem nikt nie będzie wyrzucał Odzie, że wpędzi matkę do grobu...

Odetchnęła powoli, głęboko.

– Kupiłeś to? *To?* – Tak na wszelki wypadek zatoczyła ręką wielkie koło, żeby nie było wątpliwości, o które *to* jej chodziło. – Ten kawałek zarośniętej chwastami polany w samym środku lasu? Z jakąś spaloną praktycznie do samych fundamentów rudera i udającym oczko wodne zzieleniałym bagnem, w którym zapewne czai się rzęsistek i mocznik, i czort wie co jeszcze? Oda, przecież to jest zadupie. Kompletne zadupie! Żadnych sąsiadów – wyliczała – żadnych sklepów, knajp, urzędów, banków, przychodni, kina, nic! Ani żywej duszy w promieniu kilkunastu kilometrów!

– No właśnie!

Spojrząwszy w szczerze roześmiane oczy kuzynki, Agnieszka nagle coś sobie uświadomiła. Ona, matka dziecka, żona mężowi, kierowniczką budowom, choć filigranowa, z natury była kobietą obrotną i energiczną. W godzinach pracy brodziła niestrudzenie w błocie po kolana, rozstawiając wszystkich po kątach, za to w wolnym czasie zamieniała kalosze na szpilki za ciężkie pieniądze, polar na kaszmirowy sweter i łaknęła wyłącznie zasłużonego komfortu. Nie wyobrażała sobie życia na co dzień z dala od miejskich wygód i atrakcji, a co dopiero w leśnej głuszy, bez dostępu do bieżącej wody i prądu.

Tymczasem Oda przybyła tu z zupełnie innej bajki. Takiej, w której nagrodą za harówkę od świtu do nocy było kilka godzin kamiennego snu bez snów na czymś, co od biedy mogło akurat posłużyć za łóżko. Wyższa od kuzynki o dobrą głowę i mocniejszej budowy, wyróżniała się w tłumie absurdalną burzą długich, orzechowych loków, których żadna klamra ani gumka nie potrafiła okiełznać na dłużej niż kwadrans. Na domiar złego pod wpływem choćby krztyny wilgoci z miejsca wypowiadały posłuszeństwo i zwijały się w sprężynki. Tuż przy nasadzie upstrzonego piegami nosa miała ciemnoczerwone znamię, jak gdyby ktoś dotknął ją koniuszkiem unurzanego w farbie palca. Nie malowała się, poza mydłem używała jedynie szamponu z czarnej rzepy i nieśmiertelnego



kremu Nivea, a cały jej dobytek mieścił się w wysłużonym plecaku ze stelażem, który przez te ostatnie miesiące matka kazała jej trzymać na balkonie ze względu na „robactwo”, jakie z pewnością przywlokła „z tej dziczy”. Między innymi dlatego Oda, o czym kuzynka wiedziała jako jedyna w rodzinie, nigdy nie nazywała mieszkania rodziców inaczej niż właśnie mieszkaniem, a odkąd wyprowadziła się i ruszyła w świat, przestępowała jego próg dopiero wtedy, gdy śmierć nie pozostawiała jej innego wyjścia.

Czyli aż dwukrotnie.

Cóż, dla Agnieszki leśna głusza bez dostępu do mediów była miejscem zsyłki. Dla Ody – bezpieczną przystanią.

– Więc na to poszedł spadek po ciotce?

– Tak jest, na rzęsietek i mocznik – przytaknęła Oda spokojnie. Z błogim uśmiechem na twarzy toczyła wzrokiem po polanie i otaczającym ją lesie. – Ale ruszyłam tylko niewielką część, na szczęście wystarczyło mi własnych oszczędności. Nie uwierzysz, jak mało chcieli za tę działkę. Chyba dość długo nie mogli znaleźć na nią kupca.

– Och, nie, w to akurat uwierzę. Nikt przy zdrowych zmysłach by się na nią nie rzucił, a już na pewno nie zapłaciłby więcej niż... niż...

– Machnęła w końcu ręką, bo w zasadzie każda kwota, z zerem włącznie, wydawała jej się stanowczo zawyżona, a Oda i tak nie sprawiała wrażenia zainteresowanej wyceną. – Skąd ty ją w ogóle wytrzasnęłaś?

– Trzy dni przed pogrzebem zjawiała się u mnie praciotka, cała w pretensjach i żalobie, i oznajmiła, że trzeba jeszcze zamówić klepsydrę. Uwinęłam się z tym raz-dwa i ją splawiłam, ale potem ugrzęzłam na amen w tym całym internecie. Łaziłam od strony do strony, aż tu nagle, na kogo wypadło, na tego bęc. Zobaczyłam ogłoszenie ze zdjęciem i zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Decyzja w zasadzie zapadła sama, kiedy wracałam z cmentarza i... – Urwała, a na jej ustach zaigrał tajemniczy uśmiech. Szybko jednak odzyskała łączność z rzeczywistością. – W mieszkaniu od razu usiadłam do komputera i wysłałam maila do agencji nieruchomości. No i jakoś tak... Słuchaj, Aguś, wybac, że musiałaś tłuc się taki

kawał drogi, ale chciałam cię prosić, żebyś rzuciła fachowym okiem na te fundamenty. Co prawda agencja twierdziła, że pożar ich nie naruszył i spokojnie można na nich postawić kolejny dom, ale wiesz, jak jest.

Owszem, Agnieszka wiedziała i już otwierała usta, żeby przytoczyć kilka branżowych anegdot, kiedy do jej świadomości w końcu przebiła się kluczowa informacja.

– Czekaaj, czekaaj, co? Dom? Chcesz tu stawiać dom?

– No gdzieś przecież muszę, skoro go kupiłam, prawda?

– Kupiłaś dom? Jak to – kupiłaś?

– Normalnie, przez „kup teraz”. Weszłam na Allegro, wpisałam „dom całoroczny” i wybrałam ten, który spodobał mi się najbardziej. Bardzo ładny, przytulny, drewniany...

– *Na Allegro?! – Zamieszkująca metr i pięćdziesiąt dwa centymetry Agnieszki dusza budowlańca zadygotała i umarła.*

– Och, Aguś, przecież to tylko dom. Z tego się nie strzela.

Dusza budowlańca umarła trochę bardziej.

– Nie, ja naprawdę z tobą oszaleję... Przyznaj się, Oda, przywiozłaś mnie tutaj i teraz próbujesz wykończyć, bo do pełni szczęścia brakuje ci jeszcze kameralnego cmentarzyka w ogródku?

– Cmentarz podobno jest niedaleko stąd w lesie, chyba gdzieś w tę stronę. Czy może w tamtą?...

– Matko i córko, Oda... Mam nadzieję, że działka jest chociaż uzbrojona.

– A tak, gdzieś tam powinna być stara studnia. Chyba. O ile dobrze pamiętam.

– Nie, ja z tobą oszaleję... – jęknęła Agnieszka, łapiąc się za głowę.

– Czyli na dzień dobry nie ma tu ani bieżącej wody, ani kanalizacji, a ty chcesz stawiać dom. A prąd? Gaz?

– Gaz najwyżej będzie z butli. Albo i nie, da się żyć bez gazu. A prąd się dociągnie. Kiedyś. Może. Zobaczymy. Teraz uprzątnę te pozostałości po zgłiszczach, załatwię ostatnie papiery i tak dalej. Chłopaki przyjeżdżają z początkiem maja, do końca wakacji powinni się ze wszystkim uwinąć i na jesieni będę się mogła wprowadzać.

– Znaczy... znaczy, ty zamierzasz tutaj zamieszkać? Tak całkiem?

Na stałe?

– No tak. Chyba najwyższa pora osiąść gdzieś na dobre. Albo i złe, ale to się dopiero okaże. To co? – Sięgnęła na przednie siedzenie samochodu po swój plecak i wyjęła z niego kserokopię specyfikacji. – Zerkniesz na te fundamenty i powiesz, czy to utrzymają? – Zamachała kusząco kartkami pełnymi rzutów i liczb.

– Nie wolałabyś zostać w mieszkaniu? – zapytała Agnieszka, choć dobrze wiedziała, jaką usłyszy odpowiedź. Nie przeliczyła się.

– Nie. Spędziłam w nim ostatnie pół roku i wystarczy. Kiedy dom będzie gotowy, przeniosę się tutaj. Później poszukam najemcy na mieszkanie. Nie chcę go sprzedawać, za parę lat będzie jak znalazł dla Halszki.

– Oda, no co ty...

– Postanowione – ucięła. – Dzieci nie mam i mieć już raczej nie będę, niechże dziewczyna choć raz w życiu dostanie od ciotki szalawicy coś więcej niż kilka dolców w wymiętej kopercie i życzenia spóźnione o strefę czasową lub dwie. W końcu to moja chrześnica – dodała i uśmiechnęła się ciepło do kuzynki, a ta odpowiedziała tym samym, bo też trudno im było się nie uśmiechać na wspomnienie Halszki.

– Cóż, dwie godziny jazdy to zawsze ciut bliżej niż do Afryki czy za Ural – stwierdziła Agnieszka w nagłym przypiływie optymizmu. – Ale w zasadzie... dlaczego przywiało cię właśnie tu?

Oda wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. W tym miejscu jest coś... coś takiego... Nawet nie umiem tego nazwać, ale mam wrażenie, że mnie przyzywa, odkąd agencja przysłała mi dokładniejsze zdjęcia i adres.

– Przyzywa, tak? – Agnieszka uniosła sceptycznie brew.

– Co, myślisz, że to niepokojący objaw?

– Sama powiedz, w końcu to ty jesteś lekarzem. Ja mogę zbadać co najwyżej fundamenty. No dobrze, daj mi to – rzekła, wyciągając rękę po specyfikację. – Niech no najpierw zobaczę, coś ty w ogóle kupiła na tym całym Allegro...

\*\*\*

Stara studnia, istotnie, gdzieś tam była. Znalazła się wśród gęstych

chaszczy, dwadzieścia, może trzydzieści metrów za pozostałościami spalonego domu. Niestety, była też zarośnięta aż po sam skraj cembrowiny i od co najmniej dekady sucha jak pieprz. Dlatego Oda, nie zastanawiając się zbytnio, poszła za radą kuzynki, napoczęła spadek nieco bardziej i sprowadziła miłych fachowców, żeby jeszcze przed rozpoczęciem budowy wykopali jej studnię głębinową. Z cmentarzykiem w lesie sprawa okazała się o wiele prostsza. Choć starszy niż studnia i chyba nawet jeszcze bardziej zapuszczony, nadawał się do podziwiania bez żadnych dodatkowych wykopków.

Dzień przed długim majowym weekendem kuzynki wróciły razem na polanę, ciągnąc za samochodem Agnieszki niewielką przyczepę kempingową, którą wynajęła Oda. Zgodnie z zasadą, że pańskie oko konia tuczy, miała zamiar zamieszkać w niej aż do zakończenia robót budowlanych. Z tej okazji wyposażyła się w bardzo profesjonalny osprzęt turystyczny, w tym łom, solidną siekierę i sekator, a także hamak i rower z sakwami, żeby zyskać nieco mobilności.

Nie pomyślała tylko o jednym.

– Zabrałaś może kosiarkę? – zapytała Agnieszka spomiędzy łąków traw i chabazi, które od marca zdążyły nieco urosnąć i teraz sięgały jej aż po pachy.

– Hm. Nie, w tych warunkach kosiarka wyzionęłaby ducha po pierwszym metrze. – Oda drapała się przez chwilę w zamyśleniu po kędzierzawej głowie, po czym orzekła stanowczo: – Tu trzeba porządnej, staroświeckiej kosy.

– A znamy jakiegoś kosyniera?...

– Nie znamy, ale poznamy. Chodź.

Wbrew obawom Agnieszki nie było to całkowite zadupie. Kilkanaście kilometrów dalej leżało miasteczko, którego istnienie Oda odkryła tydzień wcześniej, studiując najbliższą okolicę na internetowej mapie. Nie imponowało architekturą ani rozmiarami, ale miało ryneček, supermarket, sklep z chińskim badziewiem po pięć złotych, przychodnię, pizzerię i bankomat, a także to, czego potrzebowała teraz najbardziej – całodobowy monopolowy, a przed nim skwerek permanentnie obleżony przez miejscowych koneserów szato, rocznik siedemnasta piętnaście, oraz głównych nurtów filozofii

współczesnej, ze szczególnym uwzględnieniem surowego pragmatyzmu. Po kwadransie swobodnej rozmowy z tubylcami Oda dostała nazwisko, numer komórki i dwie propozycje małżeństwa. Za wszystko grzecznie podziękowała.

Po powrocie na polanę Agnieszka rozpoczęła telefoniczne łowy na zasięg i kosyniera, Oda tymczasem wyciągnęła z przyczepy sekator i wzięła się do ogoławania całkiem sporego skrawka ziemi pod ognisko. Była w połowie, kiedy wyrosła przed nią kuzynka i pomachała komórką.

– Załatwione. Swoją drogą, dziwny facet.

– Czemu dziwny?

– Bo ja wiem? Po prostu jakiś taki... no, dziwny. Dziwnie się z nim gada. Ale zgodził się przyjechać jutro z samego rana.

– Bardzo rana?

– Oby nie, w naszym wieku blady świt zaczyna szkodzić na cerę.

– A ziemniaczki z ogniska? – Oda skinęła głową na wielki wór, który wraz z innymi zakupami przy okazji przywiozły z miasteczka.

– Ziemniaczki z ogniska, moja droga Odo, są bezcennym źródłem potasu, szczęścia i powierzchniowych oparzeń podniebienia miękkiego.

– No to siadasz i zawijasz je w te sreberka.

Było grubo po północy, kiedy uznały wreszcie, że reszta zaległości w pogaduchach musi zaczekać do rana, aż odzyskają nieco rozsądku. Zagasiły więc ognisko i poszły spać – czy też raczej przewróciły się, tak jak stały, aż po kokardę pełne ziemniaczków z ogniska i nie tylko.

Ze snu wyrwał je nieziemski łomot.

Oda drgnęła nieco zbyt raptownie i runęła na podłogę, utykając na dobrą minutę między wąskim łóżkiem a stolikiem. Za to Agnieszka obrała kierunek wprost przeciwny, gdyż poderwała się i huknęła czołem o szafkę z takim impetem, że aż zadrżała cała przyczepa.

Ich kosynier wcale nie wyglądał tak dziwnie, jak zapowiadało się przez telefon. Miał ze trzydzieści, może trzydzieści parę lat, kilkudniowy zarost i szpakowate włosy, które uderzająco kontrastowały z młodą twarzą. Całkiem przystojną, o ile ktoś lubił u faceta mocno zarysowaną szczękę, wydatne kości policzkowe i brwi



z własnym charakterem. Na szczęście Oda nie była szczególną fanką tego wzorca zadziornej męskiej urody, a resztki próżności już dawno temu zostawiła gdzieś za zwrotnikiem Raka, dlatego bez skrepowania stała przed nim w wymiętoszonych, woniejących dymem ciuchach, rozczochrana jeszcze bardziej niż zwykle, z wzorem obicia odcisniętym na jednej stronie bladosiwej twarzy.

– Dzień dobry. To pan łomotał?

Kosynier nie zdążył nawet odpowiedzieć, bo z głębi przyczepy dobiegł straszliwy rumor i brzęk.

– Chyba mam wstrząs mózgu... – wymamrotała za jej plecami Agnieszka, łapiąc się jedną ręką za czoło, drugą zaś framugi. Diabli wzięli cały jej paryski szyk.

– Raczej wstrząs kaca, pani magister inżynier – odparła Oda z przekąsem, lecz z zawodowego przyzwyczajenia szybko skontrolowała sytuację.

Chwilę potem, zostawiwszy kuzynkę z zimnym okładem na czole, wyrzwała na polanę. Kosynier czekał na turystycznym krzeselku, grzebiąc patykiem w zimnym popiele ogniska.

– Roch – przedstawił się krótko.

– Oda – odwzajemniła się jeszcze krócej. – Długo ci to zajmie?

Potoczył niespiesznie wzrokiem po bujnych trawach.

– Do wieczora powinienem się wyrobić.

– O ile nie będzie dziś padać. Zapowiadali chyba jakieś deszcze.

– Nie będzie.

Trochę zaskoczyła ją pewność, z jaką to powiedział, ale z zasady nie wdawała się w bezproduktywne dyskusje. Obmyła się szybko przy studni, po czym wróciła do przyczepy, gdzie od progu powitało ją donośne chrapanie kuzynki. Woda z okładu kapała miarowo na podłogę. Oda przebrała się w wygodne portki, do nich założyła T-shirt, narzuciła flanelową koszulę i podwinęła rękawy, za pomocą trzech grubych frotek mniej więcej okiełznała włosy. Już nieco podobniejsza do siebie wyłoniła się na światło dzienne.

Tymczasem kosa w rękach Rocha śmigała rytmicznie na lewo i prawo, rzucając zajączki po całej polanie. Obok samochodu Agnieszki stał wysłużony biały dostawczak z otwartą paką, na której

leżały między innymi przeróżne szpadle, motyki, widły i druga kosa.

– Nie rusz... – Roch rzucił ostrzegawczo, w pół słowa zmienił jednak zdanie, widząc, z jaką wprawą Oda chwyciła narzędzie.

Przez następne dwie godziny uporali się ze sporą połacią terenu od wylotu ścieżki aż do pozostałości domu, wycinając coś w rodzaju szerokiego podjazdu. Podczas gdy Roch ruszył dalej, Oda zamieniła kosę na sekator i na kolanach zaczęła walczyć z trawskami i chwastami, które rosły przy samych fundamentach. Tu i tam jej wzrok wyłowił ciemniejsze smugi na kamieniu.

– To musiał być naprawdę wielki pożar... – mruknęła do siebie.

– Owszem. Cud, że nie zapalił się las.

– Gdyby nie brak prądu, obstawiałabym zwarcie?... – Zawiesiła pytająco głos, oglądając się na Rocha, który przystanął tuż za nią i drobnymi łyżkami pociągał wodę z butelki. Zabawne, przemknęło jej przez myśl, pił tak samo, jak mówił.

– Podpalenie.

– Żartujesz?

– Nie. W samym środku nocy.

– Komuś coś się stało?

– Nie. Tylko domu żal. Piękny był, bardzo stary. Z wieżyczką.

– Sporo o nim wiesz.

– Mój ojciec tu pracował – wyjaśnił Roch.

– Długo?

– Całe życie.

– Też jako ogrodnik?

– Ogrodnik, dekarz, malarz, kafelkarz, kominiarz, dostawca... Do wyboru, do koloru. Kochał ten dom nad życie.

Oda wstała z klęczek.

– Cóż, wieżyczki nie planuję, ale jeśli chce, to może tu śmiało zaglądać.

– Ojciec zmarł jesienią.

– Och. Przykro mi.

– Mnie również. – Wsunął butelkę z powrotem do kieszeni na nogawce luźnych bojówek i złapał za kosę. – A ty?

– Co ja?

– Nie jesteś stąd. Nie żal ci zostawiać rodziców?  
– Cóż, od grudnia już oficjalnie jestem sierotą. Choć tak naprawdę czuję się nią, odkąd zmarł mój ojciec, czyli od dobrych kilkunastu lat.  
– Ukochana córeczka tatusia?  
– Wielkie rozczarowanie mamusi.  
– Aż tak źle?  
– Ciężki przypadek wiecznego niezadowolenia. Mój ojciec umarł, żeby w końcu mieć święty spokój, zawsze będę to powtarzać.  
– A ty? Wzięłaś ją na przeczekanie?  
– A ja... Cóż, długo by... – Popatrzyła w dół, na swoje buty na tle przydeptanej trawy. Ciemnoróżowe, nowiusieńkie glany, które ujrzała na wystawie tamtego dnia, wracając piechotą z pogrzebu. I tak jak wtedy poczuła, że jeśli nie przestanie uciekać i nie zacznie wyciskać swojej matki z siebie, pomału, do cna, to pewnego dnia ta matka wyjdzie z niej nie tylko wąsem. – Kiedy miałam jakieś pięć lat, pojechałyśmy na wakacje na wieś. We dwie. Do rodziny. Może to był pierwszy raz, a może nie, może po prostu tych poprzednich nie pamiętam, ale tamtego lata nie zapomnę chyba nigdy. Miejskie dziecko na wsi, wiadomo, pełnia szczęścia. Krówka robi „muuu”, kurka robi „ko-ko-ko”, traktor robi „brummm”, matka robi „uważaj, bo”. Uważaj, bo się ubrudzisz. Uważaj, bo spadniesz. Uważaj, bo się zgubisz, potkniesz, spocisz, zmęczysz, przeziębisz. Aż któregoś dnia ciotka postanowiła ubić kurczaki. Wyniosła na podwórze taką wielką miskę z żółtego plastiku, do dziś mam ją przed oczami, postawiła przy pieńku, wzięła siekiere, złapała kurczaka i bach! Krew sikała, kurzy łeb lądował w misce, a korpus jak głupi jeszcze przez chwilę biegał po podwórzu, jakby próbował uciec przed śmiercią. A zaraz po nim drugi, trzeci i tak dalej. Patrzyłam i nie rozumiałam, na co patrzę. Miałam pięć lat, nic dziwnego. Czemu ten kurczak wciąż żył, skoro nie żył? No bo przecież musiał żyć, skoro biegał, ale też nie mógł żyć, skoro jego łeb leżał w misce. To było straszne, naprawdę straszne, ale też na swój sposób fascynujące, po raz pierwszy doświadczyłam czegoś tak... tak pierwotnego. Ostatecznego. Aż nagle z domu wypadła moja matka i zrobiła ciotce awanturę nie z tej ziemi. Poniekąd słusznie, dziś to wiem, w końcu żadne dziecko nie powinno

na coś takiego patrzeć, ale... Od tamtej pory wszystkie wakacje spędzałam w mieście. Z matką. Ciągała mnie z jednej ostoi kultury do drugiej, a potem maglowała z tego, co zapamiętałam. Jako piętnastolatka rozpoznawałam wszystkie opery Verdiego po pierwszych taktach, za to nigdy nie jechałam pociągiem. Grzecznie skończyłam liceum, grzecznie poszłam na medycynę i zdobyłam powszechnie szanowany zawód, grzecznie pochowałam ojca, a potem spakowałam się do jednego plecaka i bardzo niegrzecznie zwałam z domu, żeby się brudzić, gubić, pocić, męczyć i choć trochę schamieć za te wszystkie potulne, kulturalne lata spędzone pod kloszem. Zaczęłam od wolontariatu, potem była misja, jedna, druga, dziesiąta, wreszcie Lekarze bez Granic. Dziesięć lat harówki z paszportem w zębach i dobytkiem na plecach. W gruncie rzeczy i tak miałam szczęście. W ramach buntu szczepiłam ludzi na całym świecie, a mogłam przecież skończyć w melinie, z trójką dzieci i czwartym w drodze, każdym z innego ojca. – Podniosła wzrok na Rocha, który przez cały ten czas słuchał w milczeniu. – A teraz ty mi powiedz, czemu ja ci to wszystko mówię.

Roch uśmiechnął się półgębkiem, jak gdyby doskonale znał odpowiedź na jej pytanie, tylko nie zamierzał się nią dzielić, przynajmniej jeszcze nie teraz. Wziął kolejny zamach kosą, a Oda znów przyklekła i wróciła do czyszczenia fundamentów.

Z przyczepy wysunęła się rozczochrana blond głowa. Mrużąc oczy, Agnieszka wpierw rozejrzała się po polanie, po czym łypnęła na niebo.

– Chmurzy się – zauważyła, przejechała językiem po zębach, wzdrygnęła się i ze szczoteczką w garści poczłapała do studni.

– Mówiłam – rzuciła Oda znad sekatora. Roch jak gdyby nigdy nic robił swoje.

– Przejdzie bokiem.

A ten znów to samo. Zaśmiała się, słysząc tę jego granitową pewność, gdy wtem zachwiała się i byłaby upadła, gdyby w ostatniej chwili nie oparła się dłonią o odsłonięty fundament.

I zamarła.

Kamień pod jej dłonią drżał – ledwo, ledwo zauważalnie.

\*\*\*

W połowie sierpnia drewniany dom był praktycznie gotowy i po trzech miesiącach ekipa budowlana odjechała w siną dal. I to nie bez pewnej ulgi.

Brak ciepłej wody, saperka i krzaki zamiast uczciwego wychodka, jak również brak prądu i idący za tym szereg drobnych niedogodności, z którymi musieli się mierzyć każdego dnia – od tęsknoty za rytmicznym podkładem muzycznym aż po konieczność paranoicznego oszczędzania baterii w telefonach – dość szybko okazały się niezbyt istotnymi szczegółami w zderzeniu z Odą i jej charakterem.

A było to zderzenie czołowe.

Otóż Oda z jakiegoś powodu w ogóle nie gotowała im obiadów. Ani nawet wody na herbatę. Nie prała im gaci. Nie sprzątała w ich przyczepie. Nie była też „szefową”, „kierowniczką”, „złociutką” ani „panią kochaną”, a już z pewnością nie jeździła po piwo i fajki. W przyływie dobroci mogła co najwyżej podać otwieracz, przyływu złości woleli nie ryzykować. Ognisko rozpaliała chyba samym spojrzeniem, bo zanim się obejrzeni, płomień już trzaskał, siekierą zaś posługiwała się lepiej niż sam majster, który pamiętał jeszcze czasy krzesiwa i hubki. Była też silna, stanowcza, goniła ich z papierosami jak najdalej od drzew i miała fioła na punkcie BHP. O tym ostatnim przekonali się, kiedy własnoręcznie ściągnęła z dachu najmłodszego łebka, któremu szkoda było czasu na zakładanie zabezpieczeń. Dopóty trwała mu o otwartych złamaniach z przemieszczeniem, pęknięciach czaszki i tym podobnych przyjemnościach, barwnie i ze szczegółami, dopóki się nie popłakał. Raz na jakiś czas wpadała do nich bez zapowiedzi Agnieszka w nedorzecznie drogich czerwonych kaloszach i wytykała bezlitośnie każdą nedoróbkę, jaką wychwyciła czujnym okiem fachowca, przyprawiając zgodnie całą ekipę o zbiorową traumę. A jakby było im mało nieszczęść, co wieczór zewsząd zlatywały się hordy komarów, odpornych na wszystkie aerozole świata i bezustannie spragnionych bufetu w postaci pięciu chłopa z Podkarpacia.

Trzeba jednak oddać rozbawionej tym stanem rzeczy Odzie, że



zamiast byczyć się na leżaku, uczciwie odwaliała swoją część brudnej roboty. Zdarzało się, że kiedy ładowała kolejną taczkę albo taszczyła dachówki, nachodziło ją naraz jakieś wspomnienie i wtedy opowiadała ze swadą to i owo o swoich wyprawach. Budowlańcy słuchali z zaciekawieniem, a z czasem nawet zaczęli się dopraszać o ciąg dalszy, zawsze skutecznie. Ale przepierki nie doprosili się nigdy.

W dniu ich odjazdu Agnieszka dobijała cztery piąte ekipy drobiazgowym odbiorem i toną dokumentacji, natomiast stary majster raz jeszcze próbował przekonać Ode, żeby pozbyła się spalonego drzewa nad stawem, które bolało go w estetykę.

- Pani Odeńko, to jebnie – tłumaczył ze znanstwem.
- Nie jebnie, panie majster.
- Jebnie.
- To będzie jebnięte.

Na ten argument majster nie znalazł odpowiedzi innej niż chichot. Chłopakom pewnie śniła się już po nocach, lecz on sam polubił tę wiecznie rozczochraną, charakterną kobietę o piegowatym nosie i zielonych oczach, wielkich i okrągłych jak pięciozłotówki. Była szalona i trudna w obsłudze, za to uczciwsza niż większość ludzi, jakich spotkał przez całe swoje życie.

– No, zostało jeszcze trochę upierdliwej papierologii, ale w zasadzie możesz się nieoficjalnie wprowadzać – rzekła z satysfakcją Agnieszka, kiedy ekipa popruła wąską ścieżką, aż się za nią kurzyło, i kuzynki rozsiadły się z herbatą na drewnianym tarasie z widokiem na las. – Raczej nic ci na ten szalony łeb nie spadnie. I co teraz? Szukasz ludzi do wykończenia?

– Wystarczy, że wykończyłam tamtych – zaśmiała się Oda znad swojego kubka. – Nie, sama sobie poradzę.

– Na pewno? Nie lepiej zatrudnić jakąś złotą rączkę?

– Aguś, lepiłam w Afryce domy z krowiego łajna, naprawdę, poradzę sobie z pomalowaniem ścian i przyklejeniem paru kafli. A potem bierzemy się z Rochem za ogród.

– Z Rochem? – Agnieszka ułożyła usta w bardzo zaskoczone o, po czym gwizdnęła przeciągle. – Z Rooo...

– Och, a dajże spokój! No i co mi tu gałami przewracasz, Roch to Roch! Przyjeżdża raz na dwa tygodnie, żeby skosić trawę, i tyle.

– Jasne, jasne... Dzisiaj „Roch to Roch”, a zanim się obejrzysz, będziesz mu czule pisać do uszka: „Och, Rochu, bierz mnie po trochu...”.

– Zdużniałaś? Co to niby ma być, *Miłość nad pogorzelskiem*?

– Wersja dla ubogich, ale zawsze coś. Nooo? – po chwili ponagliła kuzynkę, gdy ta milczała zbyt długo i najwyraźniej ani myślała wracać do interesującego Agnieszki tematu.

– Co „nooo”?

– No co z tym Rochem?

– Nic, a co ma być?

– Nic a nic?

– Nic a nic. Lubię go, i tyle. Zero chemii.

– Bez szans na odrobinę fizyki? Gimnastykę artystyczną? Albo chociaż robót...

– Żadnych i na tym zakończmy temat, zanim skończą ci się zenujące aluzje.

– Szkoda... Ale wiesz co? Od następnego tygodnia mam urlop, a Halszka ciągle mnie męczy, żebyśmy do ciebie przyjechały chociaż na parę dni, póki jeszcze są wakacje. Z łajna nigdy nie lepiłyśmy, ale chyba damy radę trochę ci pomóc z tym malowaniem. Co ty na to?

– Jeszcze pytasz?! Przyjeżdżajcie choćby i na miesiąc!

Dopiwszy herbatę, wspólnymi siłami opróżniły i wysprzątały przyczepę kempingową, którą Agnieszka miała odholować z powrotem do miasta. W międzyczasie dogadały szczegóły wizyty. Kiedy późnym popołudniem Oda machała odjeżdżającej kuzynce na pożegnanie, z jednej strony nie mogła się już doczekać, kiedy znów zobaczy ją i Halszkę, ale z drugiej...

Cóż. Z drugiej wiedziała, że wtedy w okamgnieniu wyjdzie na jaw, jak bardzo jej dziś nałgała. Bo z Rochem łączyło ją więcej chemii niż węgiel i fluor w teflonowej patelni. Tyle że była to chemia zupełnie innej natury niż ta, o którą posądzała ich Agnieszka. Tak niecodzienna, że nawet sama Oda nie do końca potrafiła określić, o co właściwie jej chodzi. Ale czuła to i na dziewięćdziesiąt dziewięć

procent była przekonana, że Roch także. Każdą komórką. Nieustannie. Dostrzegała to w sposobie, w jaki czasem długo krążył po polanie, zanim odpalił kosiarkę. Albo stał całymi minutami jak posąg z zadartą głową i wpatrywał się w niebo. Albo siadał na trawie, rozpościarał szeroko palce i przyciskał dłonie mocno do ziemi.

Musiał coś wiedzieć. W końcu jego ojciec spędził tu całe życie.

Ale wciąż pozostawał ten jeden procent niepewności, dlatego Oda nadal się zastanawiała, jak ugryźć temat. I to najlepiej tak, żeby w razie czego nie zrobić z siebie wariatki kwalifikującej się do leczenia.

Otworzyła drzwi na oścież i przestąpiła próg. Oto był. Dom. Pierwszy, który mogła nazwać swoim. Co prawda niespełna pięćdziesiąt metrów raczej nie było oszałamiającym metrażem, ale Oda nie potrzebowała więcej. Lata pomieszkiwania w przeróżnych namiotach, barakach i lepiankach nauczyły ją, że dach nad głową, dostęp do czystej wody i źródło ciepła w zasadzie wystarczą jej do szczęścia, cała reszta zaś to miły dodatek. A po trzech miesiącach w przyczepie czuła się wręcz oszołomiona tą przestrzenią. Zaciszna, jasna sypialnia mieściła się na tyłach, od frontu rozciągał się duży wielofunkcyjny pokój oraz łazienka, przytulona do niego tak, aby po rozpaleniu ognia w wielkiej kaflowej kuchni grzały się obydwie pomieszczenia. Tu i tam przezorny majster wcisnął nawet przeróżne półki i schowki na rzeczy, które po opróżnieniu przyczepy walały się wszędzie.

I mogły się tak walać do woli, pomyślała Oda, uśmiechając się promiennie, ponieważ po raz pierwszy od czterdziestu dwóch lat zamieszkała gdzieś sama. Tak całkiem, naprawdę sama, bez żadnego rodzica czy współlokatora, który wróciłby w najmniej odpowiednim momencie i zrobił awanturę o krzywo odstawiony garnek. Nawet w przyczepie, z pięcioma budowlaniami pod bokiem, nie miała wystarczającej swobody. A teraz mogła żyć tak, jak chciała. Nie zamykać drzwi albo zamykać je obsesyjnie. Wychodzić z łazienki w samych majtkach albo i bez majtek. Snuć się od rana do nocy w piżamie. Tarzać się w trawie przed domem. Albo za. Śpiewać na całe gardło najgłupsze piosenki, jakie znała, i bez wyrzutów sumienia

składować brudne naczynia w zlewie, dopóki nie znajdzie ją na zmywanie. W razie gdyby uprzykrzyło jej się czyjeś towarzystwo, mogła też wyciągnąć rękę i wypowiedzieć trzy magiczne słowa: „Tam są drzwi”. A już na pewno nie musiała się rzucać do sprzątanania, jeśli nie miała na to ani sił, ani szczególnej ochoty.

Za oknem pomału zmierzchało. Chłodny wiatr buszował w koronach drzew, kołysząc do snu las i jego mieszkańców, więc i Oda postanowiła skorzystać. Zasłuchana w ten kojący, obiecujący szum rozstawiła w sypialni polówkę, rzuciła na nią śpiwór i jasek i usiadła, żeby rozwiązać glany.

Ledwo dotknęła bosą stopą drewnianej podłogi, znów to poczuła.

Drżenie.

Siedziała tak przez chwilę w zamyśleniu. Może to było złudzenie? A może kwestia krążeniowa? Może za mocno zaciągnęła sznurowadła i po całym dniu w wysokiej cholewce naczynia krwionośne i mięśnie płatały jej teraz figle? Podniosła nogę o kilka centymetrów.

Drżenie momentalnie ustało.

Ostrożnie przytknęła stopę z powrotem do podłogi.

Znowu to samo.

Nie, to nie mogło być złudzenie. Ani też prawidłowe krążenie powracające do kończyny po długim ucisku. Z pomocą logiki wykluczyła też z miejsca parestezje i parę innych schorzeń, zwłaszcza że nigdy nie miała skłonności do hipochondrii. Przyczyna tego drżenia musiała kryć się gdzieś głębiej, i to niekoniecznie w niej samej. Szybko wciągnęła but z powrotem i przeszła do drugiego pomieszczenia. Podniosła klapę w podłodze nieopodal kuchni, odsłaniając nieprzeniknioną czeluść w dole. Włoski na całym ciele stanęły jej dęba w atawistycznym odruchu. Zapaliła lampę naftową i oświetliła szerokie stopnie, wiodące prosto do serca domu – starej piwnicy, która z powodzeniem mogła zastąpić lodówkę, a w razie nagłej potrzeby nawet i loch. Z enigmatycznych wzmianek Rocha wynikało, że poprzednim mieszkańcom służyła za spiżarnię.

Między innymi za spiżarnię, przypomniała sobie, stawiając ostrożnie stopę na pierwszym stopniu. Właśnie tak to ujął. Sęk w tym, że Roch, jak to Roch, mówił tylko tyle, ile chciał i kiedy chciał,

i mimo jej nagabywań nigdy nie doprecyzował, co dokładnie zaliczało się do tych „innych”.

Z lampą wyciągniętą daleko przed siebie schodziła po szerokich stopniach, jednocześnie rozglądając się po pustej piwnicy. Naraz zmarszczyła brwi. I majster, i Agnieszka zaręczali, że wszystko w porządku, że jest sucho, nie musi się bać żadnego grzyba. Zresztą Oda przekonała się o tym osobiście, kiedy przed rozpoczęciem budowy wyłamały deski, które od czasów pożaru zasłaniały ziejący otwór, żeby nikt tu nie wpadł, i zgramoliły się na dół. Jedyne, co wtedy wisiało w powietrzu, to pajęczyny. Skąd więc nagle wzięła się tu wilgoć? I to nie świeża, co najwyżej parodniowa, lecz stara, zatechła, zastała, lodowata wilgoć, z gatunku tych, które przeszywają człowieka aż do kości, za nic mając warstwy ubrania.

Oda odstawiła lampę na jeden z wyższych stopni, podeszła do kamiennej ściany i przytknęła do niej dłoń.

– Co jest?... – szepnęła do siebie, teraz jeszcze bardziej skołowana niż przed momentem.

Nic. Sucho. Żadnego zimna, żadnej wilgoci, choć i jedno, i drugie wisiało przecież w powietrzu, co najwyżej przyjemny chłód – i to samo uparte drżenie, które wyczuwała na górze, tyle że jeszcze wyraźniejsze.

\*\*\*

Z samego rana Oda wsiadła na rower i popedałowała do miasteczka. Kiedy dotarła do celu, przypieczone sierpniowym słońcem ramiona paliły ją żywym ogniem, pot ciurkiem spływał po plecach, ale w głowie szumiało od szczęścia. Nadała listy na pocztę, zahaczyła o aptekę i spożywczy, by ugrzęznąć na dłużej w sklepie wielobranżowym, skąd wyszła bogatsza o pięć kłębków jutowego sznurka, dwadzieścia metrów stalowej linki, ostrzałkę, dwie lampy sztormowe, zapas oleju naftowego i zapalek na następny miesiąc, klamerki, koc z zielonego polaru, zamykany wiklinowy kosz, komplet bawełnianych powłoczek w kwiatki, szczypce, drewnianą łyżkę, czajnik z gwizdkiem oraz wielki wok, na szczęście bez pokrywki.

Wykombinowanie, jak wcisnąć te zdobycze do dwóch rowerowych sakw, a potem ruszyć z miejsca i się przy tym nie zabić na pierwszym



wyboju, zajęło jej więcej czasu niż wszystkie sprawunki razem wzięte. Nie na darmo jednak zdobyła przed sześcioma laty tytuł mistrzyni namiotu w tetrisa. W końcu został jej tylko wok, który za diabła nigdzie nie pasował. Zastanawiała się poważnie, czy po prostu nie wsadzić go sobie na głowę, kiedy usłyszała zdawkowe:

– Cześć.

Za nią stał Roch z torbą pieczywa w ręce.

– O, cześć.

– Jak pierwsza noc w nowym domu?

– A wiesz co, miło, że pytasz.

Ledwo powstrzymał uśmiech, widząc, jak Oda bierze się pod boki.

– Tak?

– A tak. I jeszcze milej, że mam coś ciężkiego pod ręką. – Dla pewności zakołysała mu wokiem przed nosem. – Mów w tej chwili jak na spowiedzi, co wiesz o tym miejscu, albo złamię przysięgę lekarską i cię skrzywdzę. Fachowo. A potem cię posklejam, też fachowo, i skrzywdzę ponownie. Co tam stało? Sierociniec? Przytułek dla obłąkanych? Motel rodzimego Normana Batesa?

– Dom.

– Jaki dom. Konkretnie.

– Stary. Piętrowy. Z wie...

– Tak, tak, z wieżyczką. Wiem, że z wieżyczką.

– Gotycką.

– Mam w dupie wieżyczkę, a ty zaraz będziesz miał w dupie ten wok, jeśli nie przestaniesz strzykać słownictwem i nie wydusisz z siebie czegoś więcej! Szlag!... – prychnęła, gdyż nieoczekiwany podmuch wiatru obudził jej kędzierzawą czuprynę do samodzielnego życia. Zanim zdołała mniej więcej nad nią zapanować, jeszcze dwa razy palnęła się wokiem i diabli wzięli cały efekt. Łypnęła na Rocha, zawstydzona i zła. – Twój ojciec podobno tam pracował całe życie, na pewno wszystko wiesz. Musisz wiedzieć.

Marszcząc lekko brwi, Roch wpatrywał się w chmury przemykające nad miasteczkiem.

– Przykro mi. Obiecałem ojcu, że dochowam tajemnicy.

Okej, to akurat była w stanie zrozumieć. Niestety. O ile z matką

nie potrafiła się porozumieć, o tyle z ojcem zawsze trzymali sztamę. Nigdy nie złamałaby danego mu słowa.

– Powiedz mi tyle, ile możesz. Cokolwiek. Kto tam mieszkał?

– Najpierw pewien starszy pan – odparł po dłuższym milczeniu. – Samotny, ale dość majątny. To on postawił dom. I wie...

– Tak, tak, i wieżyczkę. A potem?

– Inny starszy pan. Też samotny. Ciut mniej majątny.

– A potem?

– Pan po trzydziestce. Samotny. Goły i wesoły.

– Okej, zaczynam dostrzegać pewien wzorzec. A potem?

– Potem był pożar. – Widząc znów groźny błysk w jej zielonych oczach, wziął głęboki wdech. – No dobrze. Przed pożarem parę osób zdążyło tam umrzeć.

– Brawo, robisz postępy! Śmiercią naturalną?

– Cóż. W zasadzie to naturalne, kiedy człowiek umiera od kuli w czaszce. Albo nadziany na widły.

– Czyli parę trupów, w tym co najmniej jeden samobójca.

– Seryjny.

– Słucham?

– Seryjny samobójca.

– To niemożliwe. Nie da się zabić... się więcej niż raz.

– A jednak.

Oda naraz dodała dwa do dwóch.

– Och, niech zgadnę. I te wszystkie trupy, z samobójcą włącznie, spoczywają...

– ...na cmentarzu w lesie.

– Oczywiście, no bo czemu nie. Nie ma to jak kilka trupów pod ręką. Fantastycznie. Jeszcze jakieś anomalie, o których zapomniała mi wspomnieć agencja, sprzedając tę urocą, tfu, działkę? Dusze potępieńcze topiące ludzi w stawie? Drzewo krwawiące z dziupli? Morderczy klaun, którego powinnam nerwowo wypatrywać pod łóżkiem?

– A masz już łóżko?

– Nie.

– To dobrze.

– Kiedyś cię zaduszę.

– Do usług. Ach, właśnie. – Z kieszonki na piersi wyjął złożoną na pół karteczkę. – Tu masz namiary na człowieka od oczyszczalni ścieków. Drenażowej, jak chciałaś. A po weekendzie wpadnę z kosiarką. Przy okazji wezmę się za staw.

– To nie przyjedziesz w piątek?

– Nie. W piątek nie ma sensu.

– Czemu?

– Bo będzie padać.

– Skąd... – Nie dokończyła jednak, bo ją olśniło. Wyciągnęła z plecaka scyzoryk, odcięła długi kawał sznurka i przywiązała mocno do uchwytów woka. – Ha! Potrzeba matką wynalazku! Dobra, no to mi jeszcze wyjaśnij, o ile ci ojciec pozwolił, dlaczego cały fundament telepie się, jakby miał gorączkę. Spazmatyczny szloch targa potępioną duszą seryjnego samobójcy, a ja odbieram wstrząsy wtórne? A potem co, tsunami?

– Nie wiem, Odo. To zawsze było dziwne miejsce. Ojciec mówił, że od stuleci przyciągało różne siły. Zazwyczaj dobre. A czasem też i złe.

– Cóż, tym razem przyciągnęło mnie – stwierdziła buńczucznie, zarzucając sobie wok na plecy niczym stalową skorupę. Razem ze szczypcami i łyżką sterczącymi zadziornie z sakw upodabniała ją do wyjątkowo wojowniczego żółwia ninja. – Gorzej już raczej nie będzie.

– Może cię podwieźć? – Roch zawołał jeszcze za nią, gdy się pożegnali i Oda, chybocząc się na boki, ruszyła w drogę powrotną. – Zbiera się na deszcz.

– Dzięki, dam sobie radę! – odkrzyknęła i na dowód, że wcale nie nadrabia miną, raźniej nacisnęła na pedały.

Jazda na obciążonym i przez to niestabilnym rowerze, z wiklinowym koszem na kierownicy i wokiem na plecach okazała się nieco trudniejsza niż bez tych wszystkich maneli. Po trzydziestu minutach Oda, zamiast zbliżać się do swojego rozstaju, wciąż była w lesie – tym razem nie tylko dosłownie.

Po trzydziestu dwóch lunęło.

Po kolejnych trzech minutach Oda musiała zwolnić, bo ledwo

widziała przez siną ścianę deszczu. Była przemoczona aż do samych majtek, w glanach radośnie chlupotała jej woda, a pukle, już i tak wystarczająco niesforne, najpierw poskręcały się w lśniące sprężynki, lecz wkrótce potem całkiem oklapły pod ciężarem wody, która ciurkiem leciała Odzie za kołnierz.

A ona się śmiała, duszą i ciałem, ustami i oczami, mokra i szczęśliwa. Do momentu, kiedy wjechała w ostry zakręt i zobaczyła samochód stojący z włączonymi światłami na przeciwległym pasie.

Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyła nic zrobić. Samochód ruszył z ogłuszającym piskiem opon, a Oda poczuła falę obryzgującej ją wody i pęd powietrza zarzucił rowerem. Gruchnęła ciężko o zwirowe pobocze, kalecząc sobie prawą dłoń. Brzeg wielkiego woka wbił jej się w bok, od pachy aż po biodro.

Leżała chwilę, czując w ustach znajomy żelazisty posmak. No tak, przy upadku przygryzła sobie język. Potem dźwignęła się ostrożnie na łokieć i uwolniła prawą nogę, wyczekując bólu. Ale nie, nic z tych rzeczy. Była poturbowana, poobcierana i ubłocona, to wszystko. Odetchnęła.

Wtedy jej uszu dobiegł płacz, cienki i rozpaczliwy. W mgnieniu oka zerwała się na równe nogi w poszukiwaniu źródła dźwięku.

Po drugiej stronie szosy, tam, gdzie przed momentem stał samochód, na skraju lasu coś się miało. Oda bez namysłu skoczyła w mokre chaszczki i zakłęła jak rzadko kiedy, widząc, z jaką starannością ktoś obkleił worek po cemencie grubą taśmą pakową. Jak nic zeszła mu na to cała rolka... Bała się wbić scyzoryk, bo zwierzę w środku zawodziło i rzucało się nieustannie, ale musiała to zrobić, zanim biedne stworzenie się udusi. Unieruchomiła je więc między udami, aż zaskowytało, choć bardziej ze strachu niż fizycznego cierpienia, i ostrożnie zrobiła pierwsze nacięcie.

Z dziury natychmiast wysunął się maleńki, czarny nos i zafurczał, wciągając łapczywie powietrze.

Kawałek po kawałku Oda rozcinała grubą warstwę papieru i taśmy i w końcu uwolniła więźnia – drżącego, niewielkiego pieska, całego szarego od resztek cementu, który w strugach deszczu szybko zmieniał się w maź i sklejał długą sierść. Oczy jak dwa paciorki

patrzyły na nią z nadzieją, podkulony ogon wyraźnie nie mógł się zdecydować, czy merdać resztkami sił, czy też nie.

Niewiele myśląc, Oda przytuliła psinę do piersi.

Merdać. Zdecydowanie.

\*\*\*

– Ciocia O!

Halszka! W pierwszej chwili Oda oniemiała. Od dziesięciu lat oglądała ją w zasadzie wyłącznie z perspektywy kamerki internetowej, czyli od pasa w górę, nic zatem dziwnego, że nie ogarniała całości. A tu z samochodu wysiadło już nie dziecko, ale wciąż nie kobieta – patykowata, cudowna istota, na pierwszy rzut oka składająca się głównie z długich kończyn i szerokiego uśmiechu, który odziedziczyła po matce, podobnie jak długie, jasne włosy, związane w kucyk. Ale już wzrostem zdecydowanie wdała się w ojca, bo tak jak on bez większego trudu górowała nad obiema kuzynkami, choć miała dopiero piętnaście lat. W tenisówkach, krótkich dżinsowych spodenkach i czarnym T-shircie emanowała taką świeżością i bezpretensjonalnością, na jaką stać tylko nastolatki, kiedy akurat przez chwilę nie praktykują współczesnej odmiany Weltschmerzu.

– Rany boskie, dziecko, jak tyś wyrosła! – powiedziała Oda odwiecznym zwyczajem starych ciotek i zachłannie przytuliła Halszkę, która przywarła do niej ze wszystkich sił.

– Je jak koń, to trudno, żeby nie wyrosła! – zaśmiała się Agnieszka, otwierając bagażnik. – A stopy ma jak kajaki. Trzydzieści dziewięć i pół, uwierzysz? I wciąż rośnie!

– Mamo! No węź!

– Pięć kanapek na samo śniadanie, moja droga. Codziennie! A po drodze wsunęłaś jeszcze dwie drożdżówki, nie myśl, że nie widziałam. Ty się ciesz, że ci jeszcze nie idzie w biodra! – Nie bez trudu wywlokła z bagażnika wielkie, nieporęczne pudło, zapakowane w ozdobny papier, i postawiła przed Odą na tarasie. – Proszę bardzo, prezent na nowy dom!

– Co to takiego?

– Przenośny kibelek! – odparła z dumą Halszka. – Model Ekselens!

– Ekseląs! – poprawiła ją matka. – A do kompletu proszę bardzo!



Dwanaście rolek papieru toaletowego. Trzywarstwowego! Będiesz miała co robić w tej twojej pustawej łazieneczce – dodała i puściła oko do kuzynki.

– O, przepraszam, już nie takiej pustawej! Od wczoraj jestem dumną posiadaczką balii kąpielowej. Z piecykiem na drewno!

– No, to jeszcze tylko prąd i kanalizacja i będziesz mogła żyć prawie jak człowiek.

– Życie jak człowiek jest stanowczo przereklamowane, moja droga. Osobiście wolę żyć jak zwierzę.

– Och, mammo, patrz! – zawołała Halszka. – Jaki słodki!

Zza uchylonych drzwi wysunął się drobny psi łebek i łypał na nich czujnie.

– No pięknie. Kilka dni się nie widziałyśmy, a ty zdążyłaś już przygarnąć psa?

– To jest Kuleczka – Oda przedstawiła im psiaka. – Chodź, Kuleczko, nie bój się. To są całkiem oswojone wariatki.

Słyszając słowa zachęty z ust swojej pani, Kuleczka przykuśtykała na taras. Zdaniem weterynarza nie miała jeszcze nawet pół roku i nie zanosiło się, by rozmiarami kiedykolwiek doścignęła kota. I to nawet takiego drobnego. Bez warstwy cementu, zlepiającej jej długą, delikatnie kręconą sierść, była prawie czarna, jedynie z białą apaszką i brązowym podwoziem. Lecz nie to najbardziej rzucało się u niej w oczy.

– Mammo, zobacz! Ona nie ma łapki!

Rzeczywiście, zamiast jednej tylnej łapy nad ziemią unosił się kikut. Na tle pomału odrastającej w tym miejscu sierści wciąż dało się dostrzec niedawno zagojoną bliznę.

– Oda? – Kuzynka rzuciła jej nieufne spojrzenie. – Coś ty znowu wykombinowała, szalawiło? – zapytała półgłosem.

– Nic. Serio, nic – powtórzyła z naciskiem. – Zwyczajny przypadek. Ktoś ją porzucił na poboczu, w zasadzie na moich oczach. Miałam ją tam zostawić?

– O rany! Biedna, biedna Kuleczka... – Halszka przykucnęła przy psinie i podsunęła jej dłoń do powąchania.

– I to w worku po cemencie – ciągnęła Oda. – Oklejonym taśmą.

Jak o tym pomyśle... Żałuję, że nie dojrzałam numeru rejestracji. Popamiętałby mnie, gnój jeden...

– Oda!

– No, gnój.

– Halszko!

– No co? A ty jak byś go nazwała, mamó? Bardzo niemiłym człowiekiem?

– To... to nieistotne!

– Och, wprost przeciwnie, to bardzo istotne – odparła Oda. – Trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Brzydka rzecz to i brzydkie imię. A ty lepiej uważaj, Halszko, bo jak się do ciebie przylepi, to będziesz ją do północy głaskała.

– Żaden problem, mogę głaskać! – zaśmiała się Halszka, bo Kuleczka już leżała trzema kołami do góry, nadstawiając ochoczo brzusek, wciąż lekko wydęty po opróżnieniu porannej miski.

Agnieszka pokręciła głową.

– Ech, ty i ten twój niewyparzony język – zwróciła się do Ody. – Możesz jej nie podsuwać wyrazów?

– Jeżeli naprawdę sądzisz, że piętnastolatka nie zna choć paru, to wiesz o dzieciach jeszcze mniej niż ja.

Agnieszka nic na to nie odpowiedziała, ale szybko znalazła sobie nowy powód do niepokoju.

– A czy ten pies jest chociaż szczepiony?

– Och, no co ty. Walczyłam z cholera w Afryce, ale nigdy nie pomyślałabym o zaszczepieniu psa. Nic tylko patrzeć, jak Halszka złapie pchły, robaki i zacznie toczyć pianę z pyska. Na litość boską, Aguś! – zakrzyknęła, widząc, że kuzynka wciąż jest nie do końca przekonana, czy rozumieć to dosłownie, czy też nie. – Mam ci pokazać książeczkę?

– Nie, no co ty...

Wzięły się do rozpakowywania bagażnika, podczas gdy Halszka bawiła się z Kuleczką wokół domu. Dzień był piękny, słoneczny, ale przyjemnie wietrzny, dzięki czemu upał nie dawał się tak we znaki.

Wtem wszelkie formy życia na polanie zastygły, ogłuszone gromkim okrzykiem:

– Odo Elżbieto Chojnacka, w tej chwili wstawaj z ziemi!

Halszka przewróciła oczami, ale podniosła się, ku wielkiemu niezadowoleniu Kuleczki, z którą się radośnie tarzała po trawie.

– Czyś ty oszalała!?! – grzmiała dalej Agnieszka. – Przeziębisz sobie pęcherz!

A Odą aż szarpnęło. Czy to przez dziwnie znajomą historię w głosie kuzynki? Czy też przez to, jak zwróciła się do Halszki?

Nigdy nie przyznała się do tego głośno. Nikomu. Nie zająknęła się choćby półsłówkiem, jak bardzo ją ubodło, kiedy Agnieszka uległa naciskom i zgodnie z tradycją nadała córce imię Oda. Sama szczęśliwie uniknęła tego losu, ponieważ była drugim dzieckiem swojej matki, również drugiego dziecka, mogła więc nie zrozumieć pretensji niewiele starszej kuzynki.

Za to Oda wciąż pamiętała, jak w szóstej czy siódmej klasie na języku polskim każdy miał krótko opowiedzieć o swoim imieniu. Podwójna lekcja trwała łącznie dziewięćdziesiąt minut, dzieci w klasie było zaś dwadzieścioro siedmioro, co dawało średnio trzy minuty dla każdego. Oda mówiła przez kwadrans. Na początek przez ściśnięte gardło wydukała to, co samodzielnie znalazła w leksykonie imion:

– Oda, imię pochodzenia germańskiego. Oznacza własność, dziedzictwo, majątek.

Po czym słowo w słowo powtórzyła już dawno wyryte na pamięć rodzinne podanie o prapraprababce, Odzie Franciszce z Majewskich Bernardowiczowej, która pod warstwami spódnic szmuglowała literaturę patriotyczną i broń podczas powstania styczniowego, a po jego upadku, przepasana wszytym w gorset złotem, poszła za mężem aż na Sybir. Tam, cudem ozdrowiawszy z zarazy, gołymi rękami pochowała i samego Bernardowicza, i dwóch z trzech ich synów i aż do śmierci prowadziła ochronkę dla polskich dzieci, gdzie uczyła je potajemnie ojczystej mowy. Takie stężenie nieszczęść i patriotyzmu w jednej osobie wymagało stosownego uczczenia. Od tamtej pory żadna pierworodna córka w ich rodzinie nie mogła nosić innego imienia niż Oda. Nie mogła, nie i już, świat by się skończył, gdyby mając w żyłach choć krzytnę Tej Świętej Krwi, dziewczynka została

zwykłą Joanną, Katarzyną czy Weroniką.

Nauczycielka polskiego ocierała chusteczką łzy wzruszenia, koleżanki i koledzy słuchali z rozdziawionymi ustami, a Oda czuła się jak kopia. Jak nieudolne świadectwo cudzej wspaniałości.

Dostała wtedy piątkę z plusem.

Przez długi czas w najbliższej rodzinie jako pierwsi regularnie na świat przychodzili chłopcy i w rezultacie Ody były tylko dwie: Oda Stefania, jej matka, i Oda Karolina, czyli ona sama. Dopiero po dwudziestu trzech latach urodziła się Oda Elżbieta, którą od pierwszych dni ciotka uparcie nazywała Halszką, rzucając ciche wyzwanie rodzinnemu piętnu. Ku jej wielkiej, skrywanej radości – przyjęło się, do tego stopnia, że mało kto pamiętał, jak naprawdę Halszka miała na imię.

Dobra, odetchnęła w duchu, spokojnie. To tylko twój fioł, nie przenoś go na dziecko, nie przenoś go na dziecko...

Lecz Agnieszka jak nic wzięła sobie za punkt honoru, żeby jeszcze przed zmierzchem doprowadzić ją do ostateczności.

– Halszko! – pokrzykiwała co chwilę, przerywając w pół słowa rozmowę z kuzynką. – Halszko, uważaj! Halszko, gdzie ty tam włączysz? Halszko, chodź się napić! Halszko, nie siadaj tam! Halszko, uważaj, kleszcze!!!

Przy kleszczach Oda nie wytrzymała.

– Dość tego.

Agnieszka zastygła nad pierwszą walizką, którą miała właśnie rozbebeszyć.

– Słucham?

– Dość tego. W tej chwili wracasz do miasta i aż do końca urlopu możesz robić, co tylko chcesz. Biegać po sklepach, wziąć się za zaległe porządki, pindrzyć się u kosmetyczki, ciągać Tomka po galeriach albo całymi dniami leżeć w pościeli, wpieprzać chipsy i oglądać seriale. Ale jeśli tu zostaniesz, to przysięgam, jeszcze jedno historyczne „*Halszko, uważaj, życie!!!*” i urwę ci łeb. A wiem, że się nie powstrzymasz! – ubiegła kuzynkę. – I żeby nie było, ja to wszystko rozumiem – dodała już nieco spokojniej. – Naprawdę rozumiem. Ale dłużej tego nie zniosę.

Agnieszka spojrzała na nią jak zbity pies.

– Nie chcesz mnie tu?...

– Chcę. Nawet nie wiesz, jak bardzo chcę. Zostawisz Halszkę z Tomkiem i przyjedziesz do mnie we wrześniu na cały weekend. Albo na wszystkie weekendy. Będziemy pić wino i gadać do rana. Albo pić piwo i milczeć. Albo pić wódkę i biegać nago po łące, gorsząc kleszcze i wiewiórki. Ale nie pozwolę, żebyś spieprzyła swojemu dziecku ostatnie dni wakacji. I mnie przy okazji.

– No a... a Halszka? Tak strasznie się cieszyła, że w końcu spędzi z tobą trochę czasu.

– Och, to akurat proste. Halszkę zostawiasz. Będziemy się świetnie bawić z Kuleczką.

– Nie, Oda, no co ty! To jest zbyt wielka odpowiedzialność, ciężar, tyle rzeczy przecież... przecież... przecież ty nie wiesz nic o dzieciach!

– Są ludźmi, jak ty czy ja, u góry mają wlot, u dołu wylot, cóż tu więcej wiedzieć?

– Ale jej trzeba pilnować! Musi dużo pić, ale nie za dużo, wysypiać się, uważać na sól, nie może siadać na zimnym ani mokrym, bo jeszcze złapie wilka i...

– Aguś, Halszka ma piętnaście lat. Nie pięć. A ja, przypominam, jestem lekarzem. Wiem, co jej dolega i co trzeba robić.

Przekonanie kuzynki do tego pomysłu wcale nie przyszło jej z łatwością, lecz Oda nie zwykła się szybko poddawać. Na dodatek i Halszka, usłyszawszy, jaka jest stawka tego starcia, przypuściła szturm z drugiej flanki i pospieszyła z zapewnieniami, że oczywiście, będzie na siebie uważać, będzie grzeczna, będzie rozważna, będzie posłuszna i w ogóle będzie, jakby jej *wcale* nie było. A u jej nogi siedziała Kuleczka i merdała rażno, jak gdyby na znak, że tak, ona też.

Ostatecznie, skuszona upojną wizją czy to sam na sam z mężem, czy to sam na sam z chipsami, Agnieszka ustąpiła. Wcisnęła córce swój powerbank, żeby mogła naładować telefon, wysłuchała powtórek z solennych obietnic, że odzyska dziecko w takim samym stanie, w jakim je zostawia, a kto wie, może nawet lepszym, i ruszyła do



domu.

Ciotka wraz z chrześnicą poszły zdjąć pranie ze sznurka. Polegało to mniej więcej na tym, że Oda ściągała i składała ubrania w koszu, a Halszka brała od niej klamerki i paplała jak najęta.

– ...no i wtedy postanowiłam, że *sama* odłożę tę kasę i za rok zapiszę się na ten kurs, czy się to matce podoba, czy nie. No. To jakie mamy plany na ten tydzień?

– Niech no pomyślę... Ach, tak. W poniedziałek Roch przyjedzie skosić trawę i zająć się stawem. A jeśli pożyczysz nam drugi rower, to w środę pojedziemy do miasteczka po zakupy. I to tyle.

– Roch? *Ten* Roch? Roch tak boski, że olaboga?

– Nie, zastrzeżę tę twoją matkę... Tak, *ten* Roch – Oda powtórzyła z tą samą emfazą, która jednakże w ustach Halszki miała o wiele więcej uroku, za to mniej sarkazmu. – I tylko proszę mnie z nim nie swatać, dobrze?

– Nie no, ciociu O, co ty, przecież nikt ci nie każe od razu wlec go przed ołtarz. No wiesz, dziś już się raczej nie piętnuje się ludzi rozżarzonym żelazem za seks pozamałżeński.

– Halszko, czy ty przypadkiem nie jesteś za młoda na takie rozmowy?

– Nie, raczej nie, za teorię w moim wieku nic chyba nie grozi. A ty, ciociu, kiedy zaczęłaś się interesować seksem?

– Hm. Zdaniem mojej matki zdecydowanie za wcześnie.

– A twoim?

– Zdecydowanie za późno... No i co, nie będziesz się tu ze mną nudziła? Tyle czasu bez prądu i internetu? Z Rochem i jego kosiarką jako jedyną atrakcją?

– Bez prądu, za to z Ekseląsem! – Halszka mrugnęła łobuzersko. – Uwierz, ciociu O, nic nie przebije trzech tygodni u babci. Normalnie myślałam, że *oszaleję*. Nie dość, że codziennie musiałam jeść kaszę manną na śniadanie, to jeszcze jak babcia strzeliła w grudniu focha, że nie przyszłam na pogrzeb jej siostry, znaczy, twojej mamy, to do tej pory ją trzyma. Jakbym *specjalnie* wylądowała wtedy w szpitalu z gripą, żeby mieć wygodną wymówkę, co nie?

– A znajomi? Na babci się chyba świat nie kończy?

– Wszyscy całe lato w rozjazdach. Serio, *całe*. Z naszej paczki na miejscu została Dominika, ale z nią to się już w ogóle nie da wytrzymać, odkąd ma chłopaka. W kółko „a Maciek to”, „a Maciek tamto”, normalnie wszystko już wiem o tym jej Maćku, chociaż nie widziałam gościa na oczy. Jest gorsza niż te wszystkie praciotki, które uważają, że ja się składałam *tylko* ze szkoły, bo o nic innego mnie nigdy nie pytają. Ja do nich „hej, byłam z rodzicami w Wenecji i nurkowałam w Adriatyku, a w weekend tata zabiera mnie na krótki wypad do Londynu, w końcu zobaczę Muzeum Historii Naturalnej, no wiecie, siedemdziesiąt milionów eksponatów, te sprawy”, a one brzęczą w kółko „a od września do szkoły, a od września do szkoły...”. Dobrze, że nie pytają, czy lekcje odrobiłam, bo normalnie bym *oszalała*. A mama to wcale nie jest lepsza.

– Nie?

– No co ty, ciociu. Pytam ją „a co u cioci O?”, a ona nic tylko „Roch, Roch, Roch”. Coś mi się nie wydaje, żebyś zdurniała tak jak Dominika i nie widziała świata poza tym całym Rochem, no ale weź coś z matki wyciągnij, jak już się zapętli... Niby taka nowoczesna, wykształcona, a jak przychodzi co do czego, to nie widzi nic oprócz portek, no nie? – Pokręciła głową z całą powagą swoich piętnastu lat.

– O co zakład, że będzie dzwoniła do mnie trzy razy dziennie i wypytywała o wszystko?

Oda odpowiedziała jej szerokim uśmiechem.

– Och, zapewniam cię, że nie będzie.

– Nie?

– Nie. Zapomniała, że tu nie ma zasięgu.

\*\*\*

Oda otworzyła oczy i usiadła na materacu. Wokół panowała ciemność i cisza. I spokój, jak to w środku nocy. Ale coś było nie tak.

Bardzo, bardzo nie tak.

Było jej zimno. Tak zimno, że aż szczykała zębami, a całym jej ciałem raz po raz wstrząsały gwałtowne dreszcze. Ledwo zdołała wymacać na podłodze latarkę i zacisnąć na niej zgrabiące palce. W drgającym snopie światła zobaczyła, że niespełna dwa metry obok Halszka jak gdyby nigdy nic śpi głęboko na jej polówce, na wpół

odkryta, a przy niej Kuleczka, obie tak samo nieruchome i beztroskie. Nie sprawiały wrażenia zmarzniętych, wprost przeciwnie. Oda spoglądała na okno. Było otwarte, lecz tylko cichy, jednostajny szelest listowia świadczył o jakichkolwiek podmuchach wiatru – zbyt słabych, by wprowadzić nagrzane powietrze wewnątrz domu w ruch, a co dopiero przyprowadzić kogoś o spazmatyczne dreszcze. Ten przeraźliwy chłód zdawał się mieć źródło w niej samej, tkwić gdzieś głęboko, aż w kościach, i stamtąd rozchodził się nieregularnymi falami.

Dotknęła czoła, a potem karku. Żadnej gorączki. Więc co...

Co?

Położyła dłoń z powrotem na karku. Dotknęła policzka. Ręki. Nogi. Wszędzie skóra pod palcami była suchuteńka. Mimo to Oda całą sobą czuła nie tylko zimno.

Czuła też wilgoć.

Zatęchłą, lodowatą wilgoć.

– ...ciu O? Co się stało? – Halszka mrużyła oczy przed światłem.

– N-n-nic, śp-p-pij – wydukała.

Ale w ten sposób tylko całkiem rozbudziła dziewczynę, zamiast ją uspokoić. Halszka wyskoczyła spod kołdry i usiadła obok ciotki. Delikatnie wyjęła latarkę z jej dłoni.

– Dobrze się czujesz, ciociu?

– N-n-nie. N-n-nic mi n-n-nie jest-t-t, a-a-ale n-n-nie...

– Ciociu, czy ty masz udar albo co? Mam zadzwonić po pogotowie? Albo do mamy?

– N-n-n-n...

Naraz Kuleczka podniosła łebek i szczerknęła.

Gdzieś od frontu rozległ się stłumiony huk.

I szuranie.

Ktoś tam był.

– Ciociu! – pisnęła Halszka i uchwyciła się kurczowo jej ramienia.

Niech to szlag. Nie mogła tak po prostu siedzieć i się telepać, miała pod opieką dziecko! I psa! A to był jej dom, do cholery! Jej! Dom! Wiatr na zewnątrz nagle zawył wojowniczo, dodając jej sił. Nadludzkim wysiłkiem woli Oda przywołała swoje ciało do porządku.

Podniosła się, wyrwała latarkę Halszce, a drugą ręką sięgnęła po siekiere, którą wieczorem ostrzyła i zapomniała odnieść na miejsce.

– Cio! Co ty!?! – wysyczała Halszka.

– Cicho! Zostań t-tutaj!

Nie zważając na nieme protesty dziewczyny, uchyliła drzwi i ledwo zdusiła przekleństwo, kiedy Kuleczka przemknęła jej między nogami. Psina pokuśtykała prosto do kłapy w podłodze, przytknęła nos do szpary i fuknęła.

I jakby w odpowiedzi rozległ się kolejny huk.

Oda znieruchomiała.

Wyraźnie dobiegł z dołu. Z piwnicy.

Szybko zebrała myśli – piwnica znajdowała się w całości pod ziemią. Nie miała okien ani kominów wentylacyjnych, nic nie mogłoby się tam dostać inaczej niż górą. A wtedy by coś zauważyły, prawda? No dobrze, a co tam stało? Skrzynka z ziemniakami, zgrzewka wody mineralnej, dwa regały naprzeciwko schodów... Właśnie, regały. Zbiła je z desek pozostałych z budowy, własnoręcznie, może za słabo? Może gwoździe puściły, półki runęły na ziemię wraz z zawartością, narobiły hałasu? W środku nocy wszystko było słyhać wyraźniej niż za dnia, a już zwłaszcza w takiej głuszy...

Tak, to miało sens. Tyle że wcale nie tłumaczyło, dlaczego było jej tak koszmarnie, koszmarnie zimno.

Wtedy Kuleczka pisnęła i wcisnęła się pod kuchnię, do wnęki na drewno. Znieruchomiała Oda, choć dałaby sobie rękę uciąć, że to niemożliwe, znieruchomiała jeszcze bardziej.

Bo na ich oczach kłapa zaczęła się pomału unosić i z piwnicy wylazło coś.

Małe.

Kudłate.

I... i... rogate?...

W całkowicie bezmyślnym odruchu Oda podniosła latarkę, żeby lepiej się przyjrzeć, a wtedy owo coś odwróciło się w jej stronę.

– Co do czorta!?! – wrzasnęła i uniosła siekiere.

– Ne!!! Ne do czorta, tylko ne do czorta!!!

Kłapa huknęła, pies zaskowyczał, Halszka wrzasnęła, a kudłate, rogate coś rzuciło się do ucieczki.

Sęk w tym, że nie za bardzo wiedziało, którądy uciekać. W związku z tym zrobiło jedyną rzecz, na jaką wpadło.

Z siekierą uniesioną nad głową i rozdziawionymi ustami Oda Kręciszewska patrzyła, jak coś bardzo podobnego do Koziółka Matołka, na przemian to sapiąc niczym lokomotywa, to jójcząc jak opętane, przez chwilę w panice dreptało w kółeczko, tupiąc przy tym straszliwie, aż drżała cała podłoga. Wreszcie zatrzymało się, kwiknęło i zemdląło z wrażenia prosto do kosza z praniem.

I nagle Odzie jakoś tak od razu zrobiło się ciepłej.

\*\*\*

– Ciociu O? Co to... co to jest?...

– Czort – odparła Oda tak po prostu. – Czyli diabeł.

Jakkolwiek to brzmiało.

A sama musiała przyznać, że brzmiało absurdalnie.

Siedziały we trzy na podłodze pod ścianą i w świetle lampy naftowej wpatrywały się w kosz z praniem – zwyczajnym praniem, które nie tak dawno wspólnie ścigały ze sznurka, gadając i śmiejąc się jak tysiące, miliony normalnych ludzi na całym świecie. Kilka godzin później sterczały z niego dwie pękate, owłosione nóżki, zakończone klasycznymi kopytkami.

– Okeeej... I co teraz?

– Nie wiem.

Kuleczka chyba wyczuła, że jej pani ugrzęzła na amen w obawach i wątpliwościach, gdyż postanowiła przejąć inicjatywę. Kluczając tylko nieznacznie, przeszła na drugi koniec pomieszczenia, przednimi łapkami wspięła się na kosz i przystąpiła do obwąchiwania zemdlonego diabła.

Oda i Halszka jak jeden mąż instynktownie wstrzymały oddech.

– Kuleczko, nie! – pisnęła dziewczyna, bo psina, zaczawszy od kopytek, wędrowała nosem metodycznie wzdłuż diabła, by ostatecznie dotrzeć do rogatej głowy. I wtedy jak gdyby nigdy nic polizała go w kosmaty pysk. – Tego się nie je!!!

Ale jej ciotkę ten widok nieoczekiwanie uspokoił. Podniosła się



z podłogi i otrzepała tyłek.

– No, dobra, Halszko, wracaj do łóżka, raz-dwa.

– Ale... ale ciociu, *diabeł!!!*

– Fakt. Może zmarznąć, tu pewnie jest chłodniej niż w piekle. Dam mu kocyk.

– Kocyk? Ciociu, no wiesz co? Z twojej piwnicy wylazł diabeł, a ty chcesz mu dać *kocyk!*?

– Halszko, spójrz na Kuleczkę i pomyśl przez chwilę. Naprawdę sądzisz, że zachowywałyby się w ten sposób, gdyby cokolwiek nam z jego strony groziło?

Istotnie, psina umościła się wygodnie w koszu i położywszy łebek na diabelskim brzuchu, westchnęła i spokojnie zapadła w sen.

– No właśnie. – Oda wyciągnęła ze schowka ostatni koc i narzuciła na diabła. – Naturą naszego gościa zajmiemy się rano. A teraz do łóżka, w podskokach! Środek nocy, a ty na nogach, twoja matka mnie ze skóry obedrze, jak się dowie...

Chociaż z drugiej strony... to mogło być nawet zabawne. „Hej, Aguś, no więc wiesz, Halszka pół nocy ganiała boso po domu, ale nie martw się, diabeł na szczęście nie zmarzł!”. Wyobraziła sobie minę kuzynki i zachichotała pod nosem.

Mimo niespodziewanych nocnych atrakcji jak zwykle obudziła się punkt szósta. Na zewnątrz wciąż świeciło słońce, dom też jak stał, tak stał nadal, a Halszka spała jak kamień. Nawet teraz podobieństwo do matki wylażyło z niej na wszystkie strony – chrapała naprawdę niewiele ciszej.

Diabeł siedział w koszu z praniem i kurczowo trzymał się kocyka.

– Dzień dobry. Mam na imię Oda – przedstawiła się i wskazała psa, który chleptał wodę z miseczki. – A to jest Kuleczka.

– Och. Och, dżen topry. Ja jesztem Baszyl.

– Baszyl?

– Ne, Baszyl! Pszesz szszszsz! – zaszeleścił straszliwie i uśmiechnął się, prezentując uzębienie.

Wyglądał, jakby buchnął szczękę Freddiemu Mercury’emu. Tylko bardziej. Dużo, dużo bardziej. Widząc to, Oda szybko wzięła poprawkę na wadę zgryzu.

– Ach, Bazyl! – domyśliła się w końcu, ku wielkiej radości diabła.  
– Cóż, Bazylu, masz może ochotę na jajecznicę? Zaraz rozpale w piecu...

– A czy ten pjecz jeszt aby sztary? Bo jeszli tak, to czuje sze szobofjonszany!

Teraz, w świetle dnia, kiedy wygramolił się z kosza i mogła mu się lepiej przyjrzeć, nie wydawał się ani trochę straszny. Raczej pocieszny, zwłaszcza z tą torebką przewieszoną na ukos przez wąż, kosmatą pierś. Bazyl był kudłaty, jasnobrązowy i niezbyt wielki, bo sięgał Odzie niewiele ponad pas, a i to głównie dzięki sterczącym różkom. Przypominał drepczącego na tylnych nóżkach koziołka z wydatnym kuperkiem, z którego zwisał ogon zakończony puchatą, starannie wyczesaną kitą. Pyszczyk miał jak lama, tylko krótszy, kłapciate uszy, a dłuższą sierść na czubku głowy – tu Oda naprawdę musiała zebrać się w sobie, żeby nie wybuchnąć śmiechem – upiętą w malutki, acz nad wyraz kształtny koczek.

Stukot kopytek na drewnianej podłodze oraz upojna woń jedzenia szybko zwabiły Halszkę. Łypnęła podejrzliwie na ciotkę, a potem na diabła, który grzecznie podał jej talerz z jajecznicą. Z braku trzeciego turystycznego krzesła usiadła na parapecie i zaczęła dźgać swoje śniadanie widelcem.

– No więc, Bazylu... – zagaiła Oda, gdy już zaspokoila pierwszy głód. – No więc jesteś diabłem, tak?

– Och, ne, ne, jesztem szfykłym czortem. Na djabła nesztety ne mam farunkóf. Ne to czo tatusz... Bo mój tatusz to jeszt djabeł, że hoho!

– A mamusia? – zapytała, wężąc mezalians.

– Mamusza ma feszt farunki. Tak mafja tatusz. Dwanaszczce raży z rzendu zdobyła tytuł mysz... myszszsz... myszczofff-szky f kategorii fjekofej.

– A jakiej?

– No... fjekofej. Pszczesz mófję.

– A... Okej. Znaczy, jesteś czortem po rodzicach czempionach.

– Więc co poszło nie tak? – palnęła Halszka znad swojego talerza.

– Halszko!

– Ej no, ciociu, przecież on wygląda jak krzyżówka kozy z bakłażanem!...

– *Halszko!*

– Czósz, fszyszcy sze szafsze szmjali, kjedy babcza naszyfała neszfjentej pamjenczi dżadka sztarym czapem. A tu ledfo dfa tyszoncze czysta lat późnej – neszpodżanka! Genóf ne oszukasz... – Czort westchnął ciężko. – Tatusz kszyczy, że sze fogle ne sztaram. Że nafet sz mojim brakem farunkóf fizycznych mógbym sznaleszcz jakomsz nische. Na pszykłat sztraszycz dżeczi. Takje malutkje. Naprafffdde, naprafffdde malutkje. Albo choczasz koty. – Westchnął i zwiesił głowę nad jajecznicą, wyraźnie stropiony. – Tyle sze ja lubje koty. I dżeczi. A najbardziej to lubje robicz na drutach. I gracz na cymbałkach. No, ale same popaczcze. – Odstawił talerz i z głębin swej torebki wyciągnął nieco przykurzony instrument. – Fidżicze? Cymbałki fogle ne szo sztraszne!

– Hm, mów za siebie... – mruknęła Oda. – Mnie od cymbałków zawsze boli głowa.

– A próbowałaś gracz pałeczkami? – zapytał Bazyl ze szczerym zaciekawieniem.

I w ogóle nie mógł zrozumieć, dlaczego Oda, zamiast udzielić odpowiedzi, skryła twarz w dłoniach i zaczęła się dziwnie trząść, a Halszka śmiała się tak bardzo, że w końcu spadła z parapetu.

– No dobrze – podjęła Oda, gdy odzyskała panowanie nad sobą i chociaż odrobinę powagi, jakiej wymagała rozmowa z małym czortem. – Czyli chciałbyś być diabłem, jak oczekuje twój tatuś, ale nie za bardzo cię do tego ciągnie, tak?

– Ano. I jesztem terasz jak ta rosztarta moszna... Mamusza za młodu kuszyła Szeromskjeggo – Bazyl pospieszył z wyjaśnieniami. – Ne chce sze chwalycz, ale sz lyteraturom jesztem na bjeżonczo.

– Ku... kurzyła?...

– No wjesz, ten tego... – Bazyl zakręcił zalotnie ogonem, po czym wprawił swe brwi w sugestywny płas. – Kuszyła!

– Ach, kusiła! Dobra, to ma większy sens.

– No tak, ale czemu mosz... – zaczęła Halszka, bo coś jej się ewidentnie nie zgadzało, lecz tym razem ugryzła się w język,

zgromiona przez ciotkę wzrokiem.

– Czekał, podsumujmy. Jesteś rozdarty między oczekiwaniami tatusia a własną naturą i nie za bardzo wiesz, co ze sobą począć. I z tej okazji przybyłeś na naszą stronę, tak? – Bazyl przytaknął energicznie. – Przez moją piwnicę?

– Piesz szczerline mendzyfymjarowom f tfojej pifnicy – uściślił. – Jeszt aktywna od fjekóf, ale dotychczas czymaliszmy sze od nej ż daleka, bo sztrasznje szmerdżała dobrem. I maczkami. No wjecze, takimi ble.

– Znaczy, maczkami? A macki z zaświatów przypadkiem nie są złe?

– Och, ne fszysztkje. A te tutaj to jusz fogle. Tatusz próbofał tu rasz szczenszcza i jak doształ maczkom w pyszk, to do tej pory ma szlady.

– Czekał – przerwała mu Halszka. – Mówisz, że dotychczas trzymaliście się z daleka, tak? Ale teraz już się nie trzymacie?

– Bo f końcu pieształo tak szmerdżecz. Dlatego tu jeszteszmy, prafda? – dodał, uśmiechając się do Ody.

– My? Jacy my?

– Ty i ja.

– Czo... znaczy, co ja?

– No... no fjesz? Eee... Ne fjesz?

Halszka pierwsza skojarzyła, o co mogło chodzić czortowi.

– Och, nie, Bazylku, ciocia O jest strasznie kudłata, ale nie jest czortem. Jest... czekał, jak to zawsze mówiła ciotka Kręciszewska?

Oda najchętniej zbyłaby to pytanie milczeniem, lecz jej pamięć miała inne plany.

„Jesteś za gruba”, mówiła matka, kiedy Oda obejrzała film o Isadorze Duncan i wspomniała, że chciałaby zostać tancerką tak jak ona. „Jesteś nieznośna”, kiedy poszły do filharmonii, a ona nie mogła usiedzieć w miejscu. „Jesteś obrzydliwa”, kiedy miała pięć lat, jadła barszcz na Wigilii i poplamiała odświętny obrus. „Jesteś głupia”, kiedy płakała, bo tak bardzo starała się sama rozwiązać zadanie dla chętnych, ale nie umiała, nie umiała i już. „Jesteś niewdzięczna”, kiedy wszystkie jej koleżanki chodziły do szkoły w getrach i flanelowych koszulach w kratę, a ona musiała nosić nieśmiertelne

sukienki z żorżety.

„Jesteś niepoprawna”, kiedy rzuciła wszystko i wróciła zza oceanu, żeby ją dźwigać, karmić, przewijać i po prostu, po ludzku przy niej być, kiedy umierała.

Tych słów było wiele, a każde z nich i tak bolało mniej niż wyniosłe milczenie, którym matka karała ją za występki najgorszy z możliwych – urażenie jej godności. Ale potem, kiedy Oda uciekła przed nimi daleko w świat, kiedy gnała z miejsca na miejsce, gdzie akurat przywiał ją wiatr, zmienny jak ona sama, wówczas matka znalazła to jedno jedyne słowo, w które wtłoczyła całe swoje niezadowolenie, rozczarowanie i pogardę dla życiowych wyborów córki, a które ochoczo podchwyciła cała rodzina, nieświadoma jego ciężaru.

– Mówiła o mnie „ta szalawiła”. Jestem szalawiłą.

\*\*\*

W środę Bazyl, który ochoczo przyjął zaproszenie i zamieszkał na kuchni, został z Kuleczką, a Oda i Halszka wsiadły na rowery i pojechały do miasteczka po zakupy.

Kiedy wróciły po trzech godzinach, zmęczone, głodne i niemal ochryple od nieustannej gadaniny, na tarasie nieoczekiwanie ujrzały Agnieszkę. Widząc, jak wyłaniają się z lasu, wstała i czekała tak w milczeniu, aż zatrzymają się pod samym domem.

– Mamo? Coś się stało?

– Przysięgam, Aguś, ja też na śmierć zapomniałam o tym całym zasięgu...

Agnieszka uniosła dłoń, dając jej znać, żeby zamilkła.

– Musimy porozmawiać.

Ciotka i chrześnica spojrzały po sobie.

– Halszko, idź i zajmij się... no wiesz.

Skinęła głową, oparła rower o balustradę i pospiesznie schowała się w domu, nawet nie zabierając zakupów z koszyka.

Oda również odstawiła swój rower i stanęła przed kuzynką.

– Co się stało?

– Wczoraj po południu zadzwoniła do mnie matka. Poszła do mieszkania wujostwa, zabrać ostatnie pamiątki i...



– No tak, wiem. Przed wyjazdem sama dałam jej klucze, żeby to zrobiła, zanim opróżnię szafki i zacznę szukać najemcy. Wszystko w porządku?

– Mówiła, że szukała jakichś starych zdjęć i dokumentów w papierach i przez przypadek... przez... przez przypadek... Znalazła to. – Wręczyła Odzie poszarzałą teczkę. – Pójdę do Halszki.

Zaskoczona Oda nawet nie zwróciła uwagi na jej ostatnie słowa. Ostrożnie pociągnęła za stare tasiemki i zajrzała do środka.

Stare listy, niektóre z rozmazanymi pieczęciami, inne bez, pisane na maszynie. Pożółkłe, naddarte druki, dziesiątki druków, przeróżnych, a na nich – omiotła spojrzeniem zapisane odręcznie rubryki – chyba wyniki jakichś badań. Tak, chyba tak. Ale niektóre skróty nic jej nie mówiły, innych zaś nie zdołała odczytać, atrament za bardzo już wyblakł. Wszędzie widniało nazwisko „Kręciszewska, Oda”, numer PESEL... To matki. Ale po co matka, całe życie wręcz obsesyjnie hołdująca minimalizmowi, w myśl zasady, że ład zewnętrzny świadczy niezbitnie o ładzie wewnętrznym, trzymała w mieszkaniu wyniki sprzed czterdziestu lat?

Na samym dniu Oda znalazła kopertę. Wyjęła ją, a samą teczkę wraz z resztą papierów odłożyła na deski tarasu. W środku był dokument. Odpis zupełny aktu urodzenia. Urząd Stanu Cywilnego... dane dotyczące dziecka... dane dotyczące rodziców... Nie znała tych nazwisk, nic jej nie mówiły.

Wiatr zatrzepotał kopertą w jej dłoni, kiedy odwracała dokument. Zwróciła uwagę na zwarty akapit maszynowego tekstu.

Wzmianki dodatkowe: Sąd Rejonowy w... postanowieniem z dnia... sygn. akt... orzekł, że dziecko, którego dotyczy niniejszy akt, zostało przysposobione przez Tadeusza Leopolda Kręciszewskiego, urodzonego dnia..., i jego żonę Odę Stefanię Kręciszewską z d. Bernardowicz, urodzoną dnia... Dziecko nosi nazwisko Kręciszewska. W odpisach skróconych wymienia się przysposabiających jako rodziców dziecka.

Jako rodziców dziecka.

Jako rodziców dziecka.

Jako.

Rodziców.

Dziecka.

Puściła. Koperta i dokument załopotwały na wietrze.

Wiej, szumiał do niej. Wiej, wiej, wiej, jak najdalej wiej, tam, tam, tam, jak najdalej stąd... Naraz cały świat zawirował i szalała, ta szalała, wyciągnęła ręce, żeby uchwycić się wiatru.

– Halszka, szybko, łap dokumenty! – usłyszała jeszcze gdzieś, skądś, kiedyś, kogoś. – Oda! Rany boskie, Oda! Oda!!!

– Przepraszam, Aguś – wymamrotała, leżąc na trawie na plecach i patrząc w bezkres nieba. – Nie zdążyłam zaszczepić czorta.

\*\*\*

– ...a jeśli to był zawał?

– To nie był zawał. Ani zawał, ani wylew, zwyczajne zasłabnięcie.

– A skąd ty to możesz wiedzieć? Nie jesteś lekarzem!

– Halszko, uwierz mi, przez ostatnich dziewięć lat z tobą zdążyłam się nieźle doksztalić w kilku dziedzinach. Medycyna jest tylko jedną z nich.

Cisza.

– Wierzę. Ciocia mi mówiła.

– O czym?

– No... o wypadku.

– Tak?...

– Trochę jej marudziłam. No wiesz. Że czasem ci odbija, że tak nade mną gdaczesz jak kwoka, no i tak jakoś... się zgadało. Sama niezbyt wiele pamiętam, więc...

Znowu cisza.

– Ja... ja wiem, że czasem przesadzam. Jesteś fajną, mądrą dziewczyną, nie robisz głupstw... no, a przynajmniej nie takich, których nie da się już cofnąć. I to wcale nie jest tak, że ja ci nie ufam, bo ufam, tylko... tylko to do mnie wraca. Patrę na ciebie i widzę te wszystkie rurki, wenflony, słyszę pikanie tamtych maszyn. Przez dwa tygodnie leżałaś bez ruchu, a ja się zastanawiałam, czy kiedykolwiek się obudzisz, czy będziesz normalnie żyła bez tej nerki, czy będziesz mogła mieć dzieci. I czemu mnie tam nie było, no bo przecież gdybym była, to na pewno, na pewno zdążyłabym cię złapać za rękę,

zanim wybiegłaś pod ten samochód, przecież jestem twoją matką, a od tego są matki, żeby zdążyć, zawsze, więc... więc teraz robię wszystko, żeby nigdy więcej... żeby tym razem...

Gorące łzy spływały Odzie po policzkach.

Była wtedy na drugim końcu świata, gdzieś w azjatyckiej dżungli pełnej robactwa, kiedy dotarła do niej wiadomość, że sześćioletnią Halszkę potracił samochód. I nie mogła nic zrobić. Nic. Nawet niesienie pocieszenia kiepsko jej wychodziło, bo przez tę przekłątą różnicę czasową ciągle się z Agnieszką rozmijały, udawało im się porozmawiać zaledwie raz na dwa, trzy dni. Ryczały zgodnie do słuchawki, jedna tu, druga tam. Tamta rozpacz i koszmarna bezsilność wciąż tkwiły Odzie w sercu jak cierń, a co dopiero Agnieszce, która nadal nie mogła uwolnić się od lęku, że wystarczy moment jej nieuwagi, by koszmar z Halszką w roli głównej się powtórzył. Dlatego wciąż patrzyła na córkę przez pryzmat wypadku.

A co widziała matka, patrząc na Ode? Na dziecko, które miało zapełnić pustkę, a okazało się tak bardzo obce, tak odmienne? Osobistą porażkę?

Nie, do cholery.

Satysfakcję.

Oda przypomniawszy sobie, jak podczas licznych rodzinnych spędów krewni zawsze nadskakiwali matce, podsuwali najsmaczniejsze kąski, a ona za każdym razem dziękowała, wymawiając się zdrowiem, i przez następną godzinę, z ustami ściągniętymi w ciup, ostentacyjnie skubała gotowanego kurczaka z marchewką i ryżem. Z tą samą miną, wiecznie zbolaną, skarżyła się potem latami na „tę szalawinę” – niewdzięczną, nieuchwytną – delektując się każdą zawiedzioną nadzieją. A wszak przez kilkanaście lat próżnych starań nagromadziła ich tak wiele i rozdmuchała je do takich rozmiarów, że koniec końców nikt nie zdołałby im sprostać.

Nikt. Nie tylko Oda.

A wszystko przez to, że jej matka musiała być nieszczęśliwa, bo tylko wtedy cały świat tańczył tak, jak ona mu zagrała. Szczęście miało kiepską melodię.

Naraz Oda poczuła delikatny ruch w okolicach kostki. Kochana

Kuleczka obudziła się i teraz gramoliła się bliżej, zapamiętała merdając ogonem, mało jej nie odpadł razem z zadkiem. Rzeczywiście, przyznała Oda, trochę śmiesznie to wyszło, jak gdyby specjalnie się tak dobrali. Kuleczka nie miała łapki, Halszka nie miała nerki, Bazyl nie miał warunków, za to ona miała wąsik. Same nieszczęścia – a co jedno, to cudniejsze.

Jeszcze przez długą chwilę leżała na materacu, tuląc do piersi psa, i rozmyślała, podczas gdy zza niedomkniętych drzwi dobiegał coraz bardziej zduszony głos Agnieszki i ciche pochlipywanie Halszki. Dobrze, niech płaczą. Płakała razem z nimi, po cichu, w poduszkę. Były to jednak dobre łzy.

\*\*\*

Bez problemu przekonały Agnieszkę, żeby została na tę jedną noc, chociaż nie miała ze sobą ani szczoteczki do zębów, ani czystych majtek na zmianę. Z rozpędu zgodziła się nawet, żeby Halszka nazbierała w lesie chrust na ognisko – i nawet nie zająknęła się o kleszczach.

Długo siedziały pod gołym niebem, krzyczały, szeptały, płakały, wygłupiały się i objadały pieczonymi ziemniakami. W pewnym momencie Oda, sama już nie do końca trzeźwa, postanowiła pójść za ciosem i przedstawiła kuzynce Bazyla.

Po trzecim szczodrym drinku Agnieszka zareagowała bezbrzeżnym zachwytem.

– Jaki śliszszsny! Psześliszszsny! – szeleściła, tuląc czorta na kolanach. – A jaki mię... mię... o, pszprszm... ciusi! Wyprany w perwolu?

Oda chichotała opętańczo, krztusząc się własnym drinkiem, Halszka śmiała się jak nigdy w życiu, a i czort nie narzekał. Korzystał z okazji, nadstawiał plecki do drapania i kromka po kromce chrupał spalony chleb z kijaszka.

Po długiej i burzliwej nocy pobudka o stałej porze okazała się nie lada wyzwaniem, ale nawyk zrobił swoje i nie pozwolił Odzie zmrużyć oka na dłużej. A może to nie tyle nawyk, ile grzmoty, które wydobywały się na przemian z gardeł jej towarzyszek? Pogodziwszy się ze swym smutnym losem, Oda wypuściła Kuleczkę i boso, w samej

koszuli nocnej, wyszła przed dom.

Na spalonym drzewie siedział Bazyl i z zapalem pucował swoje ukochane cymbałki.

– Dżen topry! – zawołał, machając do niej szmatką. – Szobacz, jak sze błyszczom!

Spojrząwszy w błękitne, bezchmurne niebo, Oda nabrała głęboko powietrza, rozpostarła ramiona i przeciągnęła się, aż zatrzeszczało jej w plecach. Słońce jeszcze nie rozgrzało się na dobre i trawa pod stopami wciąż była rozkosznie wilgotna od rosy, miękka, jedwabista. Dziwne, pomyślała, to zaciskając, to rozluźniając palce, przecież Roch dopiero co ją kosił, nie powinna tak szybko odrosnąć... Ale jakie to miało znaczenie? Wyciągnęła ręce wysoko nad głowę, aż koszula podjechała jej pod same pośladki. Zaśmiała się cicho, czując na skórze delikatne igranie wiatru.

Wysoko na spalonym drzewie mały czort chwycił pałeczki i brzęknął.

Oda zrobiła krok.

Brzdęk.

A potem drugi.

Brzdęk.

Trzeci.

I nim się spostrzegła, zaczęła tańczyć. Z początku niespiesznie, jak gdyby impuls, który zrodził się głęboko w jej duszy, dopiero rozchodził się po całym ciele. Zaigrał w czubkach palców, przeszył dłonie, przeszył stopy i wreszcie pomknął wyżej, dalej, głębiej.

Tańcz. Tańcz. Tańcz. Tak jak zawsze chciałaś.

Brzękliwa, radosna melodia tryskała z cymbałków, a wiatr porywał ją i nuta po nucie niósł przez polanę, składając u stóp Ody.

A Oda tańczyła.

Tańczyła z wiatrem i pod wiatr, to ścigając go, to uciekając ze śmiechem przed jego dotykiem, a wiatr odpowiadał na te zabawy łagodną pieśczęcią.

Och, jakże jej było dobrze! Jak lekko! Krew tętniła coraz szybciej i szybciej, melodia wibrowała w słońcu i puściły ostatnie hamulce, i nie było już smutku ani żalu, strachu ani niespełnionych nadziei,

została tylko czysta radość. Tańczę, krzyczało jej ciało. Żyję, śmiała się jej dusza. Jestem, śpiewało serce.

Aż wtem wstrząsnął nią znajomy dreszcz i znieruchomiła w pół kroku – głęboko pod polaną rozlała się lodowata wilgoć, od której włosy stanęły jej dęba.

Gdzieś tam czaiło się wielkie zło.

I zamierzało wyjść na powierzchnię.

Agnieszka i Halszka spały w domu jak zabite, nieświadome niebezpieczeństwa. Na skraju lasu Kuleczka, posapując z zadowoleniem, wygrzewała się w słońcu. Mały czort grał, grał nieustannie, jak gdyby świata poza swoimi cymbałkami nie widział. Jak gdyby nic złego się nie działo. A ona czuła żar gorejących oczu, smród kosmatego cielska i ostre, bezlitosne pazury, drapiące, szukające zachłannie – którądy? Którydy?

Tędy!

I już drzwi domu rozwierały się szeroko, już poczwara wysuwała swój rogaty łeb z przeciętym blizną pyskiem, po nim zaś resztę olbrzymiego, cuchnącego cielska, już stawiała na tylnych łapach i zaczynała węszyć.

*Ach, tu jesteś, wilo, mała wilo-szaławilo* – obce myśli, choć bez słów, to doskonale zrozumiały, oblepiły jej umysł niczym gorąca smoła. – *No, dalej, zróbże mi tu trochę miejsca. Pókim dobry.*

– Nie! – szepnęła Oda, chociaż wszystko w niej krzyczało i wyło. Nie. Nie. Nie!

W odpowiedzi z potwornej gardzieli stwora dobiegł warkot. Kopyta zagłębiły się w trawę, kiedy pomału zstąpił z tarasu.

*Jesteś sama, wilo.*

*Nie jest.*

Ponad lasem przetoczył się potężny grzmot, od którego zadrżała ziemia.

Oda zadarła głowę i tam, gdzie jeszcze przed momentem rozpościerał się błękit porannego nieba, ujrzała kłębowisko czarnych, ciężkich chmur. Wzbierały deszczem – błyskawicami – szalem.

A za nią, na skraju lasu, stał Roch i z pochyloną zadziornie głową mierzył poczwarę roziskrzonym wzrokiem. Burza czekała na jego



znak.

*Nie jest sama. I nigdy nie będzie.*

W odpowiedzi poczwara kłapnęła paszczą i wyprężyła cielsko.

*Nie igraj ze mną, planetniku! Nie boję się twoich chmur.*

*Boś głupi.*

Stwór ryknął przeciągle i skoczył w stronę Rocha.

Odeę ogarnęła furia.

Zalśniły zielone oczy, stopy same ruszyły z miejsca. Wiatr już nie szumiał, nie pieścił, nie igrał, tylko wył niczym wściekłe zwierzę, gotów kasać i miażdżyć w szalonym tańcu wiły.

Tańcu bez końca.

Bez litości.

A gdzieś wśród grzmotu błyskawic i huku wiatru, wśród wycia rozwścieczonej poczwary, wciąż dźwięczały srebrzyste cymbałki.

*Przemierzyłam cały świat. Płakałam ze strachu i szczęścia. Poznałam, co to samotność i miłość. Bezsilność i moc. Pochowałam ojca. Pochowałam matkę. Pochowałam siebie. I wstałam.*

*Nie przestraszysz mnie.*

*Jestem wiłą.*

*Wiłą-szaławiłą.*

*A to jest mój las.*

*Mój dom.*

*Moja rodzina.*

*Mój czort.*

*Mój przyjaciel.*

*Precz stąd.*

*Precz, precz, precz.*

*TAM.*

*SA.*

*DRZWI.*

\*\*\*

Melodia urwała się niespodziewanie. Mały czort kwiknął i upuścił cymbałki.

– Szłotki jeżu z malinami!

Rozejrzał się dookoła, zdezorientowany, jak gdyby coś go wyrwało

z głębokiego snu. Nic z tego nie rozumiał, co tu się stało? Czemu był cały mokry? Skąd te wielkie kałuże na całej polanie? Czemu Oda siedziała na ziemi, z włosami w nieładzie, jakby w nią piorun strzelił, w przemoczonej na wylot koszuli nocnej? I skąd tu się nagle wziął ten miły facet od kosiarki, który stał teraz nieopodal, zgięty wpół, i sapał ciężko, jak gdyby dopiero co ukończył maraton?

I czemu – Bazyl raz jeszcze pociągnął nosem, nie mogąc uwierzyć w to, co mu podpowiadał – powietrze pachniało tatusiem?...

Drżącą z wysiłku dłonią Oda odgarnęła włosy z twarzy. Obejrzała się na Rocha, który rzucił jej zmęczony uśmiech, a potem na dom.

– Won mi stąd, dupku – wydyszała z satysfakcją. – Teraz ja tu jestem.

\*\*\*

Minęło lato, Halszka wróciła do miasta, szkoły i znajomych, a Oda i jesień rozgościły się na leśnej polanie na dobre.

Każdego ranka spoglądała w lustro i uśmiechała się do swoich piegów, znamienia i wąsika nad górną wargą. Nauczyła się go widzieć i kochać. W końcu gdyby nie on, wciąż słuchałaby podszeptów płochego wiatru. Teraz, jeden po drugim, bez pośpiechu, przesuwając w głowie stare klocki, układając je w nową, stabilniejszą całość. Matkę, ojca, siebie, wspomnienia, te złe i te dobre, wszystkie żale i nadzieje, przeszłość i przyszłość. Z radosną Kuleczką i gadatliwym Bazylem u boku w końcu czuła, że stworzyła prawdziwy dom. Doczekała się oczyszczalni, heroicznie załatwiła całą papierologię, w najbardziej nasłonecznionym miejscu postawiła niewielką szklarnię i planowała, co w niej posadzi na wiosnę, a naciskana przez Halszkę, która chciała mieć kontakt z ciotką nie tylko w co drugi weekend, nawet pogodziła się z myślą o nieuchronnym dociągnięciu prądu. Dla odrobiny urozmaicenia podjęła też pracę na pół etatu w niewielkiej przychodni w miasteczku. Raz na tydzień lub dwa przyjeżdżał Roch i aż do wieczora snuł się po coraz bujniejszych zaczątkach ogrodu, od czasu do czasu, jak to on, rzucając zdanie albo pół.

– Twój ojciec wiedział, że jesteś planetnikiem? – zapytała go Oda, kiedy pewnego razu został chwilę dłużej i popijając herbatę, wspólnie podziwiali zachód słońca nad lasem.

– Domyślał się. Choć nigdy nie zapytał wprost. Ale zawsze dostrzegał więcej niż inni.

– Miał w tym wprawę.

– Owszem.

– A teraz ty idziesz w jego ślady.

Spojrzał na nią, jak gdyby dopiero teraz to do niego dotarło.

– Właściwie... Tak.

– W zasadzie nigdy ci nie podziękowałam za... za tamto. Nie wiem, czy poradziłabym sobie sama. No więc... dzięki.

Więcej do tego nie wracali. A Oda już zawsze mu wierzyła, kiedy Roch mówił, że zanosi się na deszcz.

Pewnej soboty wróciła z grzybobrania i wręczywszy pełen koszyk Bazyłowi, poszła jeszcze splukać podeszwy różowych głąw pod szlauchem. Uwielbiała takie poranki, kiedy las mienił się kolorami, w rześkim powietrzu unosił się wyraźny, błogi zapach wilgotnej ziemi, a ona mogła w końcu chodzić w ukochanym norweskim swetrze i bez wyrzutów sumienia zaczynać dzień od kubka gorącego, gorzkiego kakao.

W pewnym momencie usłyszała trzask pękającej gałązki, a zaraz potem szelest. Zakręciła wodę i zaczęła wpatrywać się w las.

Coś wyraźnie przedzierało się w jej stronę.

No nie, w pierwszej chwili jęknęła w duszy, kolejny diabeł? Lecz sekundę później zorientowała się, że nie, nie tym razem.

Mężczyzna, czarnowłosa, szczupły i intrygująco blady, rzeczywiście prezentował dość diaboliczną urodę, choć złagodzoną już wyraźnymi pasmami siwizny. Na widok Ody uśmiechnął się i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy jego wzrok przemknął dalej, za kobietę, i padł na dom.

– Przepraszam najmocniej, byliśmy na... na... – Wpatrując się w dom jak zahipnotyzowany, machnął ręką gdzieś tam za siebie i Oda od razu skojarzyła, że wyszedł z lasu od strony cmentarza. – Chciałem, no, chciałem tylko... Rany boskie, od jak dawna pani tu mieszka?!

W pierwszej chwili zaśmiała się, widząc to jego zmieszanie. Roch też to zauważył. Odkąd Oda się przebudziła i wspólnie stawili czoło

piekielnej poczwarze, naturalna aura wiły, spleciona z mocą planetnika, sprawiła, że ogród rozrastał się jak szalony, a sam dom zaczął starzeć się w nadnaturalnym tempie i wyglądał teraz, jak gdyby stał tu od dziesięcioleci, a nie zaledwie półrocza.

Ale... ale skąd obcy człowiek mógł o tym wiedzieć?

Przyjrzała mu się trochę uważniej.

– A... a pan to...?

– Mieszkałem tu kiedyś, krótko... zdecydowanie za krótko, ale cóż. Wyszło inaczej. A co tu przeżyłem, to moje. Zaraz, zaraz... To pani kupiła ode mnie tę działkę, prawda? Przez agencję?

– Od pa... Ach! – Pan po trzydziestce! Ostatni właściciel domu, o którym mówił Roch. – Tak! Oda Kręciszewska. – Wyciągnęła rękę. – Miło mi poznać poprzednika.

– Mnie również miło, Konrad Romańczuk. Widzę, że zdążyła już pani, hm... zapuścić korzenie w tym niezwykłym miejscu – rzekł i mrużąc nieco powieki, obrzucił Odę dziwnie przenikliwym spojrzeniem.

A potem uśmiechnął się półgębkiem.

– Ach, no tak... Wszystko jasne.

– Słucham... słucham?...

– Takie miejsce potrafi nieoczekiwanie odmienić życie, prawda? – ciągnął, z wciąż tym samym, osobliwie diabolicznym uśmiechem patrząc jej prosto w oczy. – Z początku człowiek nic z tego nie rozumie, wydaje mu się, że oszalał, że wszystko stanęło na głowie, ale potem... potem odkrywa, że po prostu wskoczyło na swoje miejsce.

Och! Chciała go wypytać, o wszystko – o pożar, o szczelinę, o śmierdzące dobro i macki, zwłaszcza o te macki, o których Roch z uporem maniaka wciąż nie chciał jej nic opowiedzieć – ale wtedy znów coś zaszeleściło i z chaszczy wykolebało się małe dziecko.

– Ojoj, alleluja... – bąknęło, ledwo łapiąc równowagę w wysokich kaloszach. Z rozłożonymi dla pewności rękami, w zdecydowanie za dużym płaszczu przeciwdeszczowym wyglądało trochę jak mała gumowa paralotnia.

– Ja ci dam alleluja – fuknął cicho Romańczuk i pomógł mu wygramolić się na trawę. – Jeszcze raz przepraszam panią za to

najście, odwiedzaliśmy... no, rodzinę. Już się zmywamy.

– Ależ nie, jakie znowu najście! Zapraszam, może wejdziecie na chwilę, usiądziecie? Zaraz zrobię kakao.

– Nie, nie, nie będziemy pani zawracać głowy. Ale miło wiedzieć, że znów zamieszkał tu ktoś... właściwy. Do widzenia! Życzę szczęścia!

– Do... do widzenia! – krzyknęła za nim, bo na wszelki wypadek, gdyby Oda zamierzała nalegać, mężczyzna już maszerował w stronę ścieżki ku szosie, ciągnąc za sobą dziecko.

– Papa, alleluja! – zawołało i uśmiechnęło się do Ody, szeroko i promiennie, od koniuszków ust aż po kąciaki oczu.

Wielkich i niebieskich jak dwa chabry.

*Lipiec 2017*

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska  
Redakcja: Piotr Chojnacki  
Korekta: Artur Kaniewski, Anna Rakoczy  
Ilustracja na okładkę: Elwira Pawlikowska, [www.grimdream.com](http://www.grimdream.com)  
Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk  
Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-4967-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**